

PO PROSTU

TYGODNIK STUDENTÓW I MŁODEJ INTELIGENCJI

Nr 37 (346)

13. XI. 1955

Cena 35 gr

Otwórzmy okno na studencki świat

O tym, że ZSP jest członkiem Międzynarodowego Związku Studentów — wie każdy student. Wynika stąd, że każdy członek zrzeszenia jest jednocześnie członkiem MZS.

Ta prawda znana jest już tylko nie-licznym. I nie też dziwnego. Bowiem członkostwo przeciętnego polskiego studenta w MZS jest aktem czysto formalnym.

A przecież problem naszego rzeczywistego udziału w międzynarodowym życiu studenckim jest kwestią nader istotną.

Szczególnie teraz, po Festiwalu, potrzeba otwarcia okna na studencki świat jest tak powszechna, że z okazji Światowego Tygodnia Studentów uważamy za pozytywne zrzucenie kilku uwag na ten temat.

DOTYCHCZAŚ BYŁO TAK

Reprezentanci Polski zasiadają we władzach MZS w drodze rezydencji stałej przedstawicieli ZSP. Na konferencje, rady, zjazdy, seminaria, spotkania i dyskusje wyjeżdżają delegacje polskich studentów. Ale...

Jednym z godnych przypomnienia truizmów jest pogląd, że członkowie wszystkich wydziałów dobrze przygotowany do życia i wykonywania zawodu, to nie osobnik, którego wiedza ograniczona jest do krajowego zasobu, ale człowiek o szerokich (i w sensie geograficznym) horyzontach, wiedzący co się w świecie dzieje.

Podsumowując te problemy na łamach PO PROSTU niestety nie ograniczaliśmy się do kwestii znajomości geografii gospodarczej i politycznej oraz problemów polityki międzynarodowej. Zagadnienie posiada bowiem i drugą stronę medalu.

W świecie istnieje odrębna społeczność studencka o swoich, właściwych dla wszystkich krajów problematyce. Społeczność ta posiada własną organizację międzynarodową. Jej głównym zadaniem

jest podejmowanie spraw istotnych dla wszystkich studentów świata: i tych o fundamentalnym znaczeniu dla przyszłości globu ziemskiego i rozwoju młodego pokolenia i wielu innych, drobniejszych problemów studenckiego świata. Jednym z zadań MZS jest organizowanie wymiany naukowej mającej na celu umożliwienie studentom korzystania nie

JERZY URBAN

tylko z ich krajowego dorobku naukowego, ale międzynarodowych zdobyczy na tym polu.

Niestety tak się dzieje, że przeciętny polski student zupełnie nie odczuwa istnienia MZS-u, jeśli nie liczyć rzadkich referatów na temat tej organizacji i innych dorywczych spotkań z międzynarodową problematyką życia studenckiego.

Gdyby zapytać w jakiegokolwiek uczelni dlaczego tak się dzieje, odpowiedź byłaby niezmienna. „Bo nie mamy możliwości wyjazdu za granicę”.

W stwierdzeniu tym zawarta jest i nie cała i bardzo uboga w przemyslenia prawda.

W Polsce studiuje 140 tysięcy studentów. Trudno przewidzieć, aby w najbliższym okresie masowa turystyka objęła całą młodzież studiującą.

Tym niemniej ilość wyjeżdżających za granicę studentów znacznie ostatnio wzrosła i nadal będzie wzrastać, choć oczywiście, w najbliższych latach, nie osiągnie ona liczby wyrażającej się w imponujących cyfrach. Rzecz przede wszystkim polega na czym innym.

Pamiętam, gdy studiowałem na Uniwersytecie, pewien mój kolega z grupy wyjechał z jakąś delegacją młodzieżową do NRD. Bawił tam dwa tygodnie. Po powrocie odbyło się zebranie, na którym wygłosił on opowieść o swej podróży zawierającą szereg stwierdzeń w rodzaju:

„W NRD buduje się socjalizm”. „Tam ludzie walczą o pokój i są naszymi przyjaciółmi”. „FDJ to bojowa organizacja” itp. Wszystko to przypisane było wodnistym sosem powierzchownych, bezpośrednich wrażeń z podróży.

Rzecz działa się na wydziele dziennikarskim. Gdyby ów kolega wygłosił cykl problemowych odczytów o NRD, gdyby np. przedstawił nam analizę zawartości i metod pracy jakiejś gazety i gdyby przywiózł materiały i nawiązał trwałe kontakty — byłoby nad czym dyskutować, z czego czerpać. Jednym słowem podróż przyniosłaby ogólny pożytek.

Wydaje się, że nie tyle ilość co „jakość” podróży zagranicznych jest kwestią zasadniczą.

Rzecz polegałaby na tym, aby każdy wyjeżdżający do jakiegoś bądź kraju, przed wyjazdem dostawał konkretne sprawy, zapoznawał się z jakąś dziedziną nauki, kultury czy życia społecznego, a później w sposób poważny i długofalowy przynosił doświadczenia, obserwacje itp. tak, by w doświadczeniach z wyjazdu partycypowała możliwie duża ilość studentów.

ŻYJEMY W XX WIEKU

Znam wybitnego znawcę problemów Francji, który nigdy w życiu nie oglądał kraju Balzaka. Żyjemy w XX wieku, kiedy niekoniecznie trzeba jechać do jakiegos kraju by mieć sporo o nim wiedzieć. Mamy pocztę, gazetę, radio, film. Wszystko to daje może mniej przyjemności i wrażeń, ale na pewno więcej głębokiej wiedzy, niż dwutygodniowa turystyczna wycieczka.

Wymiana korespondencji ma u nas dużą, choć nienajlepszą tradycję. Piszemy do „przyjaciół w Bulgarii” zapewniając ich o naszej przyjaźni i opisując jak to dobrze nam się żyje i studiuje i otrzymujemy w zamian analogiczny list z Sofii.

(dokończenie na str. 6)



DZIEWCZYNA Z SENEGALU

fol. Baranowski

Rozwijamy tradycje naszej przyjaźni

Wywiad z członkiem kierownictwa Związku Studentów Jugosławii tow. Ljubisa Rakić

W czasie pobytu w Polsce delegacja młodzieży jugosłowiańskiej przedstawiła naszej redakcji przeprowadził krótki wywiad z członkiem Zarządu Głównego Związku Studentów Jugosławii kolegą Ljubisa Rakić. Oto treść wywiadu:

1. Jakie wrażenia odnieśliście ze spotkań z polskimi studentami?

Przed wszystkim muszę powiedzieć, że do Polski przyjechałem jako członek delegacji Związku Ludowej Młodzieży Jugosławii, której celem było zaznajomienie się w pierwszym rzędzie z działalnością Związku Młodzieży Polskiej. Ta okoliczność plus bardzo bogaty program naszego pobytu nie pozwoliły mi bardziej szczegółowo zapoznać się z życiem i działalnością naszych studentów.

Jednak wrażenia, które wyniosłem z rozmów ze studentami i działaczami studenckimi trzech uczelni, napełnione w czasie rozmowy z kierownictwem ZMP i ZSP przekonały mnie, że nasze organizacje studenckie mają wiele osiągnięć w rozwiązywaniu zagadnień wychowawczych, kulturalnych, naukowych i społecznych. Szczególnie zainteresowała mnie organizacja naszych obywateli, wycieczek itp. imprez.

2. Co myślicie o perspektywach zacieśnienia przyjaźni i współpracy między studentami naszych krajów?

Celem moich rozmów z towarzyszami z kierownictwa ZSP była przede wszystkim obustronna informacja o działalności i problemach naszych obywateli organizacji. Moim

zdanem nasze organizacje mogą w najbliższej przyszłości rozwinąć trwałą współpracę w różnorodnych formach. Przede wszystkim myślę o wymianie kulturalnej, sportowej, wymianie informacji i publikacji. Moglibyśmy także uczestniczyć obustronnie w seminariach i imprezach letnich, organizowanych przez ZSJ i ZSP. Pożądana byłaby także wymiana studentów na praktyki fachowe. Myślę, że wszystkie te formy kontaktów jak i ich dokładniejszą koncepcję będziemy mieli możliwość omówić w osobistych kontaktach przedstawicieli kierownictwa ZSP i ZSJ, które niewątpliwie nastąpią w najbliższym czasie.

3. Może chcielibyście przekazać coś polskiemu studentom od studentów Jugosławii?

Pragnę wyrazić swą wdzięczność redakcji PO PROSTU, że umożliwiła mi, jugosłowiańskiemu studentowi wyrażającemu opinię wszystkich naszych studentów, przekazanie najserdeczniejszych pozdrowień polskiemu studentom i życzyć im dalszych sukcesów w pracy dla socjalizmu i budowania lepszych stosunków między ludźmi.

Studentów naszych krajów wiąże świetlana tradycja rewolucyjnych walk studenckich w okresie międzywojennym i wspólna walka w czasie ostatniej wojny. I nasi i wasi studenci brali czynny udział w pierwszych szeregach walczących o wolność narodową i społeczną naszych przajów. Mam nadzieję, że nasza przeszła współpraca będzie rozwijać te tradycje.

Rozmowę przeprowadził JERZY SZOMA

nowoczesnych doświadczeń światowej kinematografii. Poważnie zaważył tutaj wpływ postępowej (powszechnej) włoskiej szkoły filmowej.

Nie było rzeczą przypadku, że nowa, tzw. neorealistyczna szkoła w filmie włoskim znalazła się w ciągu ostatnich lat w kręgu zainteresowań naszego, szczególnie młodego środowiska filmowego. Sprawił to zapewne m. in. triumfalny pochód szeregu wybitnych dzieł twórców włoskich przez nasze ekrany, jak również pewien niedostatek dotychczasowych osiągnięć filmu polskiego. Wielu młodych filmowców i krytyków zaczęło rozmyślać o drogach naprawy, zdecydowanego odejścia od schematyzmu i stylizacji. Konieczność zbliżenia sztuki do potrzeb odbiorcy spowodowała nieprzypadkowe zbliżenie sztuki monumentalnej i patetycznej, będącej m. in. wy-

sander Ford, nawołując do poszukiwania narodowego stylu filmu polskiego w narodowym dziedzictwie kulturalnym, a nie obcym.

Rzecz idzie o twórcze przeniesienie na nasz teren niektórych osiągnięć Włochów. Biorąc pod uwagę ruch umysłowy współczesnych postępowych Włochów oddziaływający dodatnio na ożywienie twórczej myśli artystycznej. Zasadniczym postulatem tego ruchu jest tworzenie dzieł sztuki, które wkraczają w granice pojęć przeciętnego człowieka pracy, dzieł realistycznych, których prawda artystyczna

uniknąć Rybkowski w „Godzinach nadziei”.

Przez dokładną obserwację życia dążyć do zbudowania z jego drobnych pełnej syntezy, pełnej metafory naszej rzeczywistości. Oto credo młodych filmowców.

Wyjaśnia ono ich zamierzenia. Poświęcić się filmowi nawiąskom współczesnemu, poruszać również te tematy w filmie, które działają bezpośrednio i pośrednio na naszą współczesność. Za wszelką cenę uniknąć tematyki eskapistycznej, „malowane” filmowych, stylu płasko ilustracyjnego (dotychczasowa bolączka naszych filmów), a wreszcie filmu monumentalnego o ambicjach pokazania przekroju całego świata, czy też historii WPK(b), czego nie potrafiła się ustrzec Wanda Jakubowska w swoim „Żołnierzu zwycięstwa”.

„Wbrew klasykom filmowym chcemy uniknąć dążenia do stwarzania wielkich arcydzieł. — Chcemy natomiast wielu prostych, a nie pozbawionych poezji filmów wyrażających sprawy, myśli prawdziwych, zwykłych ludzi” — tak mniej więcej wygłaszały transparenty niesione przez członków zespołu Kawalerowicza na jakiejś narodowej manifestacji.

Ale nie koniec na tym. W istocie ambicje młodych sięgają wyżej. W miarę, jak w atmosferze twórczego niepokoju naszych czasów wyrastają nowi ludzie, ludzie zaczynający szerzej myśleć, w miarę wzrastania ich kulturalnych potrzeb, stawiają oni sztuce większe niż dotychczas wymagania. Nowy czytelnik chce dobrej książki, nowy widz żąda dobrej sztuki teatralnej, a wreszcie do filmu. Znudzili go filmy „recepty”. I słusznie oburza się na to, że artysta traktuje go ciągle, jak przedmiot naszej rzeczywistości, podczas gdy on często zdobył już świadectwo dojrzałości. Świadomi tego młodzi twórcy rzucają śmiało hasło stworzenia filmu intelektualnego.

A więc cenne tu będą poza filmem włoskim wzory radzieckiej i amerykańskiej klasyki filmowej lat trzydziestych: Eisenstein i Pudowkin, Stroheim i King Vidor („Thum”) oraz słynny Charlie Chaplin.

(dokończenie na str. 7)

O jaskółkach wiosnę czyniących w naszej kinematografii

JERZY GRZEGORZ TUSZEWSKI

kładnikiem twórczości Forda Młodzi dostrzegają piękno i wielkość naszego życia w jego najprostszych i powszechnie sprawdzalnych przejawach. Czują oni, że filmy „malowane” i stylizacja rodzimych i zagranicznych klasyków filmowych, to już sprawa miniona. Dawał wyraz temu niejednokrotnie w swych prasowych enuncjacjach Krzysztof Teodor Toeplitz (znany ze swych felietonów filmowych w „Nowej Kulturze”), obecny kierownik literacki zespołu Kawalerowicza.

Poszukiwania te zbiegały się jakos z przykładami neorealizmu filmu włoskiego. Jest rzeczą niewątpliwą, że myśl artystyczna zespołu kształtowała się na tych właśnie wzorach. Ale jednocześnie zespół wychodził ze słusznego założenia, że nie można kopiować filmu włoskiego. A więc nie o naśladowanie Włochów chodzi młodym. Jak to próbował inspirować na ostatniej sesji filmowej SPATIF-u Alek-

musi być niejako utożsamieniem prawdy życiowej. W tym miejscu spotyka się neorealizm włoski z naszym socrealizmem. I tu niestety podobieństwo się kończy.

Sprawą zasadniczą dla twórców włoskich jest przede wszystkim obserwacja życia z całym bogactwem jego najrozmaitszych przejawów. Czy „Rzym miasto otwarte” Rossellini, czy też „Słońce wschodzi” Vergano cechowało ogromne nasilenie materiału obserwacyjnego, dotyczącego życia ludu włoskiego. Jednakże późniejsze filmy włoskie, które oglądaliśmy na przestrzeni ostatnich roku, idą w kierunku tzw. „podglądania sąsiada”, rozminiają się na elementy realistycznych doświadczeń, nie tworząc z nich żadnej syntez. uogólnienia, w myśl zasad realizmu socjalistycznego. Stąd też przestroga przed kopiowaniem. Kawalerowicz i jego zespół pragną ustrzec się od tego niebezpieczeństwa (czego np. nie zdołał

Czy nie stać nas na to?

Sporo pisało się ostatnio o słabościach naszej prasy, a szczególnie — o publicystyce międzynarodowej. I u nas w PO FROSTU, i w innych tygodnikach wskazywano na brak witaminy I (informacja), K (komentarz), P (poemat) itp. Padło wiele słusznych słów, ale...

Wiem, że to co teraz powiem, będzie odbiegalo od panującej mody, ale co, wydaje mi się, że ta dość krzykliwa krytyka nie zawsze jest usprawiedliwiona, a raczej — nie wynerwiona — we właściwym kierunku.

Czy rzeczywiście jest tak źle z naszą informacją? Kilkakrotnie porównywałem „Trybunę Ludu” lub „Życie Warszawy” z „Le Monde”, „Daily Express”, lub „Manchester Guardian”. Trzeba przyznać, że porównanie to wcale nie wypadło tak niekorzystnie dla naszej prasy, jak mogłoby się to na pierwszy rzut oka wydawać. W niektórych wypadkach informacja naszych gazet — mimo mniejszej ich objętości — bywa dokładniejsza od podawanej przez czołowe dzienniki zachodnie. Tak np., myśmy opublikowali prawie w extenso oświadczenia obu stron na konferencji ZSR — NRF w Moskwie. Wystarczy przypomnieć sobie z jakim zainteresowaniem u nas czytelnicy siedzieli przy pertraktacji, żeby stwierdzić, że w tym wypadku prasa spełniła swoje zadanie. „Cóż z tego, powiecie, ale gazety nasze na ogół są nudne i jednostajne”. Co do tego — zgoda. Dlaczego, tak jest? Sądzę, że to wynika nie tyle z braku informacji, ile z nieudolnej formy, w jakiej jest ona podana. Najciekawsza wiadomość, że zredagowana, nie trafi do czytelnika. Dla ilustracji — autentyczna historia.

Ostatnio leżałem w jednym ze szpitali krakowskich. Sala męczyzna, 7 łóżek. Nuda — jak zwykle w takich warunkach — niesamowita. O 9 rano przyniosła pułap: 3 „Gazety Krakowskie”, 1 „Trybuna”. Zapal, z którym rzucił mi się na gazetę, na pewno wzruszyłby redaktorów tych dzienników. Ale... Pewnego dnia — nie wiem jaki diabeł mnie skusił — wpadło mi do głowy zapytać:

— Co myślicie o wypowiedziach amerykańskich senatorów w dzisiejszej „Gazecie Krakowskiej”?

— Jak to, wypowiedzi amerykańskich senatorów? Nie ma tego w gazecie!

NIKT nie zauważył dwuszpaltowego artykułu na drugiej kolumnie! („Gazeta Krakowska”) 19-X-55).

A dlaczego? Popatrzmy na nagłówki: WRÓCIŁYMY Z KRAJU RAD PRZEPOJENI PRZYJAZNYMI UCZUCIAMI DLA NARODU RADZIECKIEGO.

Przed wszystkim, w artykule tym (przedruk wypowiedzi opublikowanych w „US News and World Report”) nie było ani jednego cytatu brzmiącego jak „oświadczenie”. Ale gdyby nawet jeden z kongresmanów USA zdołał się na wygłoszenie takiego zdania, wtorując się na wypowiedziach dzielnicy związkowych z Brigrarii lub kierowników PGR-ów z Polski, czy należało to wlaśnie zdanie uwypuklić? Wzrost mojej małej ankiety pokazuje, że nie. Każdy sobie pomyślał: „Co tam, jeszcze jedna wypowiedź jakiejś delegacji...” i szukał dalej, albo — w ogóle przestał szukać. A przecież było mnóstwo cytatów w artykule, nadających się o wiele lepiej na nagłówki, jak np.: „Mam zupeł-

nie inne wyobrażenie o Rosji, niż przedtem...” lub „Istnieją obecnie znaczenie lepsze niż dawniej możliwości dogadania się z Rosjanami”.

Czytelnik od razu był się zorientował, że mówi ktoś z Zachodu, bo wie on doskonale, że amerykański senator używa słowa „Rosja” a nie „Kraj Rad”. Czy naprawdę racjonalizator czeski, naukowiec angielski, małorolny chłop polski i senator amerykański, muszą wszyscy mówić tym samym językiem, tzw. językiem PAPowskim?

Ale na tym się nasza dziennikarska nieudolność nie kończy. Prasa choruje na martwinę przede wszystkim dlatego, że nie potrafi pokazać tego, co Francuzi nazywają „la petite histoire”, która zawsze towarzyszy wielkiej polityce.

Wzięmy np. wizytę L. M. Pearsona w Moskwie. Myśmy podali treść rozmów między Molotowem a Pearsonem, i wspólny komunikat radziecko - kanadyjski. „Le Monde” ponadto opublikował następującą ciekawostkę: „W trakcie rozmowy Mr Pearson powiedział zartem:

— Przeleciałem nad żelazną kurtyną na wysokości 5000 metrów.

— Czy Pan nie zauważył, że myśmy zastąpili żelazną kurtynę — aluminium, żeby było lżejszą ją podnieść? — odparł z uśmiechem Mr Molotow.

— Mam nadzieję, że potrzebując aluminium, zamówicie go w Kanadzie — powiedział wtedy Mr Pearson.

Dlaczego nie było tego u nas w prasie? Rzec przeciw działa się w Moskwie.

„Przekrój” ostatnio przedrukował artykuł z niemieckiego „Der Spiegel”, relacjonujący dowcipną rozmowę, prowadzoną na lotnisku moskiewskim pomiędzy Bułganinem, Chruszczowem a von Brentano. Dlaczego nasi dziennikarze nie opisali tego sami? Czyżby ich nie było na lotnisku moskiewskim? Kiedy niedawno Molotow był w Stanach Zjednoczonych, CBC (Columbia Broadcasting Corporation) poprosiła go o wywiad dla telewizji. Prasa angielska podkreślała jako symptom nowego klimatu fakt, że po raz pierwszy radziecki mąż stanu przemawiał bezpośrednio do dziesiątków milionów Amerykanów. Nasza prasa i o tym nie wspominała.

Ktoż nie pamięta podanych przez Agencję TASS dowcipnych, błyskotliwych powiedzonek Chruszczowa w jego rozmowach z dziennikarzami i politykami Zachodu? Wygląda na to, że gdyby nie te obszerne komunikaty TASS, nigdy byśmy się nie dowiedzieli, że tow. Chruszczow ma tak wielkie poczucie humoru.

Jakie wnioski z tego wyszły? Mniej hałasu, a więcej samodzielnego myślenia, inwencji i inicjatywy, czyli — więcej uczciwej, prawdziwej roboty dziennikarskiej.

WIKTOR

Tak zwane „notatki z podróży” jako gatunek dziennikarski straciły znacznie na atrakcyjności w stosunku do epoki Marco Polo, kiedy to i przetrzeźniały jako zjawisko społeczne — była tworzyłem nieco bardziej opornym i każdy krok odkrywał nowe światy, a ludzie w ogóle byli bardziej skłonni do dziwowania się różnym osobliwościom i sam podróżnik był zmuszony do uczestnictwa w autentycznym życiu odwiedzanych okolic.

A teraz — cóż? Świat oglądany przez szybę, powierzchownie: przelotne rozmowy, jednodniowe znajomości, przechadzki — potem sprawozdanie nieuchronnie trywialne i płaskie: co się jada, w jakich samolotach, jak ubierają się zagranicą, co grają w kinie i jakie pejzaże się oglądało; setki banalnych obserwacji powtarzanych do znudzenia przez setki wojażerów. Spostrzeżenia poniższe wyniesione z „wiecznego miasta” nie mają innych pretensji jak dostarczenie paru wiadomości zebranych na przedzie w czasie dwutygodniowej wizyty w Rzymie, a dotyczących jednego tylko fragmentu włoskiej rzeczywistości — życia filozoficznego.

Pierwsze wrażenie człowieka spacerującego po rzymskich ulicach, jest takie oto: miasto to składa się z barów, kościołów, motocykli, kotów i smażonej oliwy. Okazuje się z czasem, że to nie wszystko. Nie mam jednak zamiaru opisywać owych rzymskich osobliwości, które ogląda się często na obrazkach i w kinie: ani tych dawniejszych, o których z podniosłym wyrazem twarzy mówią nauczyciele łaciny, ani tych nowszych, które uświetniają swym blaskiem doczesną chwałę rzymskiego kościoła, ani nawet owych najnowszych, wielokrotnie już publicznie eksploatowanych, a zawsze równie rzeczywistych jak Colosseum i Bazylika Świętego Piotra — objawów sławnej nędzy włoskiej, widocznej bez trudu pod pozorami luksusu i elegancji, również w warunkach pewnej prosperity przemysłowej, która, zdaje się, nawiedziła ten kraj — podmiejskich lepierek nędzarzy, nocnych zbieraczy niedopałków, żebraków, dzieci proszących o nie-dojrzałą żywkę cukru, prostytutki. Podaje garść notatek tylko ze spotkań filozoficznych. Zważywszy, że polskie kontakty filozoficzne z tym krajem niemal doszczętnie zamary w ostatnich latach, nawet takie — rzec można — spacerowe i powierzchowne wiadomości — mogą być pouczające.

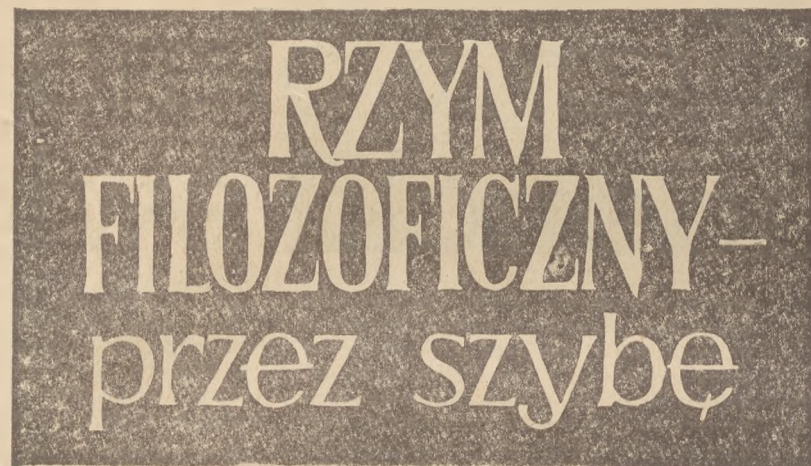
Informacje, jakie udało mi się uzyskać w toku rozmów z kilkoma filozofami włoskimi — zarówno komunistami jak ludźmi skrajnie przeciwnie orientacji — ukłają się w taki oto przybliżony obraz rzeczywistości filozoficznej.

Śród kierunków, niemarksistowskich najtrwalej zakorzeniony jest dotąd w życiu intelektualnym włoskim idealizm heglizujący — tradycje Crocego i Gentilego; żywotność tego kierunku objawia się nie tylko w filozofii, ale również silnie w historiografii, w historii literatury i sztuki, w krytyce literackiej — we wszystkich dziedzinach humanistycznych. Tradycje te zapuściły najtrwalsze korzenie w środowiskach intelektualnych Włoch południowych i środkowych: można się spotkać z opinią, iż jest to w ogóle swoisty produkt zafascynowania południowych Włoch, zapożyczonych w rozwoju kapitalistycznym. W jakim stopniu wpływ owego kierunku są nadal zdolne do życia, a w jakim stopniu można je już traktować jako anachronizm obumierający — co do tego opinie marksistów nie zawsze są zgodne, podobnie jak co do oceny jego roli (zwłaszcza Crocego) w przeszłości. Pewne jest wszakże, że ogromna większość intelektualistów włoskich (w zakresie nauk humanistycznych) wychowała się w atmosferze umysłowej ukształtowanej przez jego oddziaływanie.

Wpływ te, pogłębiające wybitnie humanistyczną orientację włoskiej filozofii, doprowadziły m. in.

do całkowitego oderwania problematyki filozoficznej od nauk przyrodniczych, od logiki, od zainteresowań metodologicznych, upowszechniły upodobania do dyalektyki spekulatywnej, uprawianej w próżni gołej ontologii abstrakcyjnej, mającej wszakże swoje polityczne konsekwencje jednoznacznie reakcyjne.

Miałem możność powierzchownego znanostwienia się z doktryną prof. Ugo Spirito, który uchodzi za jednego z najpoważniejszych — obok Carlo Antoniego — kontynuatorów tej tradycji. Jest to spekulatywny irracjonalizm, wychodzący z założenia, że człowiek musi poszukiwać absolutnie pewnej podstawy poznania — jednak bez nadziei jej znalezienia skoro kartezjańskie cogito zostało przeczykowane: życie jest tedy poszukiwaniem; ponieważ jednak żyć trzeba i podejmować decyzje, można to czynić tylko na mocy bezpośrednich reak-



LESZEK KOŁAKOWSKI

cji, upodobań i smaków typu estetycznego — bez racji jakichkolwiek logicznie ważnych; życie jest tedy sztuką. Ale skoro nie można się przy tym wyrzec beznadziejnego dążenia do rozumienia intelektualnego rzeczywistości, dążenie to przezwycięża wszelki subiektywizm, zwraca człowieka ku rzeczywistości i zmusza go do zjednoczenia się z nią w akcie miłości i afirmacji, która wyrzeka się wszelkiej postawy negatywnej i wrogiej wobec czegośkolwiek, programowo rezygnuje z odróżniania dobra i zła i człowiekowi przywraca — niczym raj utracony — błogą niewiedzę, czyniąc w ten sposób zadość starej chrześcijańskiej tęsknocie, a wyzwalając się ze zgnębionego intelektualizmu — życie jest tedy miłością. „Życie jako poszukiwanie”, „Życie jako sztuka”, „Życie jako miłość” — to tytuły filozoficznej trylogii prof. Spirito. Otrzymujemy w sumie radykalne — niezmiennie charakterystyczne dla współczesnego irracjonalizmu — odmówienie rozumowi ludzkiemu i wszelkim wysiłkom poznawczym jakiegokolwiek wartości dla życia praktycznego, programową negację możliwości etyki racjonalnej, pochwałę rajskiej ignorancji, połączoną z hasłem nawrotu do chrześcijaństwa pierwotnego, kompletne i jawne uwolnienie człowieka od wszelkiego ciężaru odpowiedzialności moralnej („Człowiek nie może już być odpowiedzialny, bowiem odpowiedzialność zakłada autonomię jednostki, która się oddziela od całości”). Uczeń Gentilego, czołowego ideologa i praktyka włoskiego faszyzmu, prof. Spirito miał sam tłumaczyć bezbłędnie swoją doktrynę na język polityki jako teoretyk korporacjonalizmu; w tym przekładzie nakaz miłości tłumaczy się jako solidaryzm klasowy, „zjednoczenie z całością” — jako hasło poddania się woli państwa, negacja absolutu w poznaniu — jako wolność od wszelkich moralnych rygorów i ocen.

Jako reakcja — pozorna czy rzeczywista — na idealizm heglizujący pojawił się we Włoszech neopozytywizm, który krzewi się nade wszystko w ośrodkach północnych, uchodzi za kierunek ekspansywny i żywoty. o wpływach rosnących; wprowadza do filozofii metodologię przyrodoznawstwa i logikę. Tu-

maczy się na język włoski Russella, Wittgensteina, Carnapa, Morrisa, Deweya. Niektórzy ze stronników tego kierunku — wymieniane tu jest nazwisko Giulio Preti — szukają porozumień teoretycznych z marksizmem głównie na gruncie materializmu historycznego. Nie może to osłabić, rzecz jasna, zasadniczego antagonizmu.

W księgarniach włoskich nie trudno również znaleźć Kierkegaardczy Heideggera po włosku — objawy wpływów filozofii egzystencjalnej (niezmiennie aktywny filozof z Turynu, Abbaniano, jest najgłośniejszym nazwiskiem w tej grupie), kilka lat temu nadzwyczajnie we Włoszech rozwinęła, a obecnie, jak mi mówiono, znacznie osłabiona i szukającej eklektycznych kompromisów z żywym nurtem neopozytywistycznym. Próby tworzenia „egzystencjalizmu marksistowskiego”, przedsięwzięte kiedyś w tym kraju, należą, jak się zdaje, do przeszłości.

Ostatnim z czynnych we Włoszech kierunków idealistycznych jest filozofia katolicka. Wielokrotnie zdarzyło mi się spotkać z poglądem, że doktryna ta, mimo wielkiej bazy organizacyjnej, nie liczy się w życiu intelektualnym Włoch i jako filozofia pozbawiona jest istotnych wpływów. Obok instytucji ściśle watykańskich, jej najbardziej rozbudowaną placówką jest uniwersytet Sacro Cuore w Mediolanie. Z filozofów katolickich, zajmujących stanowiska uniwersyteckie, notowani są jako najbardziej aktywni Sciacca z Genui, Stefanini z Padwy (autor książki o personalizmie chrześcijańskim), Carlini z Pizy i Guzzo z Turynu. Wielu ze świeckich spirytualistów katolickich, którzy mają stanowić niejako odrębny nurt katolicyzmu włoskiego, wyszło ze szkoły Gentilego i prowadzi studia nad Rosminim, którego doktryna cieszy się pewną popularnością wśród inteligencji katolickiej, a ma oparcie również w zakonie założonym przez tego filozofa i toleranym, acz niezbyt chętnie, przez kościół. Prawowierni tomiści traktują tradycję rosminianską jako ciągle aktualne niebezpieczeństwo dla ortodoksji katolickiej, a nazwisko tego filozofa — w Polsce niemal zupełnie nieznane — który w XIX stuleciu przeniósł oddziaływanie niemieckiego idealizmu do włoskiej myśli katolickiej — często dało się słyszeć na ostatnim międzynarodowym kongresie tomistycznym w atmosferze ostrej krytyki. Kongres ten potwierdza zresztą opinię o niskim poziomie i ograniczonym zasięgu oddziaływania włoskiej filozofii katolickiej, która z tej racji nie stanowi zupełnie — jako filozofia — przedmiotu krytyki włoskich marksistów.

Jakkolwiek paradoksalnie to brzmi — powiedział mi jeden z moich rozmówców — ideologiczne oddziaływanie katolicyzmu we Włoszech jest niewielkie. Watykan jest siłą polityczną, która utrzymuje swoje wpływy wśród chłopstwa w rezultacie antagonizmu między chrześcijaństwem i burżuazją włoską; antagonizm ten sięga epoki Risorimentu — epoki zjednoczenia Włoch i rewolucji burżuazyjnej, która rozczarowała chłopów i nie przyniosła im oczekiwanych zdobyczy. Dzisiejsze wpływy wśród chłopstwa Chadeja zawdzięcza swoim obietnicom reform rolnych, których

demagogiczny charakter jest wszakże coraz bardziej widoczny, a wobec których rozczarowanie manifestuje się w rosnących wpływach partii komunistycznej w południowych prowincjach.

Filozofia marksistowska we Włoszech przejawia aktywność rozległą, na dobrym poziomie naukowym, pełną inteligencji i wiedzy. Jej oparcie w państwowych uniwersytetach jest, oczywiście, stosunkowo niewielkie — nie tak łatwo uzyskać komunistę profesurę uniwersytecką. Oprócz katedr uniwersyteckich, które zajmują — w Mediolanie prof. Antonio Banfi, w Messynie prof. Galvano della Volpe i w Pizie prof. Cesare Luporini, jednym z ośrodków promieniowania filozoficznej myśli marksistowskiej jest Instytut im. Gramsciego — rodzaj partyjnego uniwersytetu, który prowadzi studia naukowe i nauczanie różnych dyscyplin humanistycznych. Do czynnych filozofów marksistów włoskich należy też Badaloni, mer miasta Livorno.

Problematyka, której poświęcają wysiłek filozofowie — komunizm włoscy, jest wieloraka. Tradycje idealizmu heglizującego, ciągnące na włoskim życiu umysłowym — tradycje, w których wychowywała się zresztą większość humanistów, również marksistów włoskich, narzucają konieczność intensywnego zainteresowania dla zagadnień dyalektyki marksistowskiej, jej dzieł dawnych i nowych oraz jej stosunku do dyalektyki Hegla. Przewyciężenie atmosfery umysłowej, ukształtowanej przez spekulatywną dyalektykę włoskiego idealizmu, wymaga studiów nad historią powstania i kształtowania się marksistowskiej doktryny w jej walce z heglizmem. Prof. della Volpe rozważa m. in. te kwestie w wydanym przez siebie wyborze prac młodego Marksa z komentarzem (Teoria per umanesimo positivo) oraz w swoim studium o logice dyalektycznej; jest on również autorem dużej rozprawy o filozofii Eckharta. Również dzieje renesansu włoskiego, w którym idealizm poszukiwał chętnie swojej tradycji i którego sens światopoglądowy zniekształcał, przyciągają uwagę marksistów włoskich. Luporini jest autorem dzieła o Leonardo da Vinci, Badaloni ogłosił studia nad filozofią Giordano Bruno i Campanelli, Banfi opublikował pracę pt. „Człowiek kopernikański” — rozważając problematykę światopoglądową Odrodzenia w jej związkach ze współczesnością. Wiele uwagi poświęcają też komuniści studiom nad historią włoskiego marksizmu, której wczesny etap oświetliła ostatnio znana praca Palmiro Togliattiego o Labrioli. Przygotowuje się, jak mnie informowano, opracowane przez marksistów wydanie dzieł Francesco de Santis, którego wkład w postęp włoskiej myśli filozoficznej jest doceniany i analizowany.

System studiów filozoficznych we Włoszech nosi piętno gentiliańskiej reformy — orientacja wybitnie humanistyczna, brak jakiegokolwiek związków z problematyką przyrodoznawstwa, lekceważenie dla logiki. W odczynie Peano i Enriquesa nie istnieje logika w ramach oficjalnych studiów uniwersyteckich — wiąże się to bez wątpienia z irracjonalistycznym charakterem dominującym w tym kraju do niedawna szkoły idealistycznej. Natomiast czteroletnie studia filozoficzne mają tę zaletę, że obejmują w ogromnym zakresie pozafilozoficzne dziedziny humanistyki — zwłaszcza historię (trzy egzaminy obowiązujące) i historię literatury (również trzy egzaminy); obok tych przedmiotów oraz psychologii i pedagogiki, które także wchodzi w skład dyscyplin obowiązujących, studenci składają egzaminy z filozofii teoretycznej, filozofii moralnej, historii filozofii oraz kilku przedmiotów wybranych.

W rezultacie zachodzą niewielkie różnice pomiędzy studium filozoficznym a innymi dziedzinami humanistyki. Profesjonalnym użytkownikom studium filozoficznego ma być zasadniczo nauczanie filozofii w szkołach średnich, jednakże liczba absolwentów filozofii — a studium to istnieje na wszystkich pra-

(Dokończenie na str. 8)

UGENIUSZ GUZ

Na drodze Bonn — Berlin

„Tysiące młodych ludzi przybywa ze strefy radzieckiej, aby w NRF żyć w wolności. Jednakże spośród tych, którzy pobyli u nas dłuższy czas, wielu wraca z powrotem. Wola oni nawet ryzykować ukaranie ich po powrocie, niż dłużej pozostać w NRF. Liczba powracających stale rośnie. Dlaczego młodzi nie wracają?” (Z zachodnio-niemieckiego dziennika burżuazyjnego „Die Welt”).

„Obiektwni, apolityczni i bezpartyjni” redaktorzy — pretendujący do tych samych przymiotników — agencji zachodniopółnocniemieckiej DPA, w dalszym ciągu niemal codziennie wypuszczają w świat z podejrzaną skrupulatnością wiadomości o „tysiącach uchodźców”, przechodzących z NRD do Niemiec zachodnich. Zgodnie z założeniami redaktorów, wśród uchodźców tych znajdują się musi być każdym razem kilkunastu policjantów ludowych. Gdyby polegać na matematycznej ścisłości dziennikarzy zachodnio-niemieckich i podsumować wszystkie dzienne meldunki o uchodźcach, opublikowane w ciągu 10 lat, stwier-

dziłibyśmy ze zdumieniem, że poza członkami Biura Politycznego SED nie ma już prawie w NRD jednego żywego człowieka.

Jeżeli wierzyć wszystkim faktom, to okaże się, że szczególnie od ub. roku obserwujemy nowe zjawisko — wzmógł się proces powrotu uchodźców oraz przenoszenie się do NRD stałych mieszkańców NRF. Czy znaczy to, że nikt w NRD nie szuka już dzisiaj drogi na Zachód? Bynajmniej. Cały aparat boński jest na ten odcinek specjalnie wyczulony i jego praca — siłą rzeczy — musi dawać pewne wyniki. Zresztą fluktuacja ludności między dwoma państwami to jeden z gorzkich owoców rozbięcia Niemiec, który zatrwać będzie stosunki wewnętrznie — niemieckie jak długo nie dojdzie do zjednoczenia. Jednakże nie malejący coraz bardziej ruch na drodze Berlin — Bonn, lecz wzmagający się ruch powrotny na drodze Bonn — Berlin jest dzisiaj barometrem przyszłości Niemiec.

WIERZYLI W PONĘTNE PERSPEKTYWY

Bardzo duży procent tych, którzy rozczarowani i zawiedzeni wracają, to młodzież. Tylko w I

kwartale 1955 r. wróciło do NRD 15 000 młodzieży. Pismo Adenauera „Rheinische Merkur” zmuszone było przyznać w kwietniu br., że „jeszcze pół roku temu wracało z powrotem do Niemiec (środkowych) 5 do 10 proc. młodych uciekinierów, którzy u nas przeszli twardą szkołę życia. Dzisiaj cyfra ta wynosi już 10 do 15 proc., a u dziewcząt nawet 25 proc.”. Zachodnio-niemiecki dziennik „Freie Presse” określił ogólną liczbę powracających na 10 000 miesięcznie, dodając przy tym ironicznie: „Oczywiście nie są to cyfry urzędowe. W Bonn wystrzegają się publikowania tego rodzaju danych, ponieważ nie pasują one do recepty propagandowej. Mimo to cyfry te są faktem”.

Bardziej interesujące wnioski nastawiają bodajże nie tyle same cyfry, ile przede wszystkim motyw powrotu młodych uchodźców — młodzież bowiem się tylko zajmie, skłonieni do tego brakiem miejsca i specyfiką pisma.

Na wstępie małe sprostowanie. Rozumiemy, że prasie zachodniej wygodnie jest przypisać często u-

*) Rewizjonści zachodnio-niemieccy uparcie używają NRD „Niemcami środkowymi” dla podkreślenia, że Niemcy wschodnie to nasze Ziemię Odzyskane.

chodząc tajemniczą etykietkę „polityczny”, co nie zmienia jednak faktu, że z przyczyn politycznych przenosi się do NRF mikroskopijny procent uchodźców. „Die Fluchtlingsstimm” — organ przesiedleńców — rozgoryczony świadomym zaniechaniem przez Bonn potrzebujących od lat uchodźców, wygarnia prawdę: „Ci „polityczni” uchodźcy z NRD wcale nie wywołują tak przynębiającego wrażenia, jak to się zwykło opisywać. Spotykamy ich w pociągach, przybywających od strony NRD. Są przeważnie dobrze ubrani i odżywieni. Kiedy rozmawia się z uchodźcami na tematy polityczne, okazuje się, że ich poglądy są do tego stopnia naiwne, iż powstaje w ogóle pytanie, jak to mówić o ucieczce z przyczyn politycznych”.

Tak więc młodzieńcy uchodźcy „polityczni”, to element skuszony przeważnie złudnymi nadziejami lub ponętnymi propozycjami. (W NRD stwierdzono wypadki prowadzenia przez agentów — szczególnie wśród inteligencji technicznej — werbunku na wyjazd do NRF, oferując doskonale warunki pracy). Niektórych ciągnie na Zachód zwykła ciekawość, inni ulegają żądzy przygód. W wielu jednak wypadkach

młodzież — na której usiłują zbierać kapitał władze bońskie — to po prostu element przestępczy, co przyznaje zresztą „Die Welt”: „Pewien procent uciekinierów, który trudno bliżej procentowo ustalić, zjawia się w Berlinie zachodnim po to tylko, aby uniknąć w strefie radzieckiej kary za przestępstwa. Natomiast część uciekinierów dopiero u nas stacza się na złą drogę”.

O ile więc w przytłaczającej większości wypadków w przechodzeniu do NRF nie sposób doszukać się — jak widzimy — pobudek politycznych, to proces powrotu do NRD ma już cechy wyraźnie polityczne, o czym niżej.

DLACZEGO WRACAJĄ

We wrześniu w Berlinie demokratycznym odbyła się konferencja prasowa, na której niedawni marzyciele o „Złoty Zachód” opowiadał, jak stopniowo nadzieje i złudzenia ustępowały miejsca rozczarowaniu, „całkowitemu rozczarowaniu złotym Zachodem” — jak to określa „Die Welt”.

Guenter Frey, jeden z uchodźców przybyły z Wiesbaden, opowiadając dziennikarzom, jak to w zetknięciu z twardą rzeczywistością odkrywał elementarną prawdę, że Zachód nie

dla wielu ludzi maluje się w złoty barwach. „Pracowałem w jednym zakładzie. Było nas razem 37 uczniów — oświadczył dziennikarzom na konferencji. — Pewnego dnia wszyscy otrzymaliśmy wypowiedzenie. Motywacją była lakoniczna: brak pracy. Faktycznie jednak przyjeżdżo na nasze miejsca nowych 40 uczniów. (Mając do dyspozycji rezerwową armię pracy, przedsiębiorcy często zwalniali personel już wyszkolony, aby uchylić się od podwyższenia zarobków). Przez 10 miesięcy bezskutecznie szukałem pracy. Wreszcie za proponowano mi wstąpienie do policji granicznej. Odmówiłem...”.

Oczywiście, dla wielu takich jak Frey — o ile propaganda bońska odbierze im odwagę powrotu do NRD — zgłoszenie się do formowanego Wehrmachtu lub policji granicznej stanowi w takiej sytuacji jedyną deskę ratunku. Niejednemu trafiła również do Legii Cudzoziemskiej lub uzupełnienia szeregi agentów — ostatnio solidnie przeszkoleni przez aparat bezpieczeństwa NRD. Według „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, w Bawarii — w jednym z wielu punktów werbunkowych do Legii Cudzoziemskiej zgłosiło się od

(dokończenie na str. 7)

Furtki wdechowej twierdzy

STANISŁAW MANTURZEWSKI

Co to jest „drętwa mowa”? W jaki sposób powstała? Co ją konserwuje? Jak wpływa na postawę szerokiego kręgu młodzieży? Czy można bez niej żyć?

Drętwa mowa to pewien fason życiowy, fason antyteletyczny do chuligańskiego i wdechowego. Polega na podkreśleniu Wielkich Celów za pomocą wypowiadania Dużych Słów. Ale wielkie cele i duże słowa to jeszcze za mało dla powstania drętwej mowy, to dopiero jej zewnętrzny kształt. Sedno sprawy tkwi w tym, aby ten kształt był pusły.

Irenizując można by powiedzieć, że chodzi o to, aby jej wygłaszać był wolny od szczerzego wewnętrznej patosu, albo też aby jej wysłuchawcy byli podobnie ustabilizowani w słońcu emocjach: najchętniej oczywiście żęby i wygłaszacz i wysłuchawcy byli w trakcie jej „zasuwania” maksymalnie drętwi. Wtedy dopiero mowa uzyskuje pełną antonimie, osiąga swój zenit.

Duże słowa rzucaliśmy i dawniej. To jednak nie było to samo. Carat, sanacja i hitlerizm, nędza, walka, więzienie i śmierć dawały tym słowom pełne pokrycie w postaci powszechnej codziennej grozy i codziennych nadziei.

Potem — po czterdziestym piątym roku — emocje nasze zaczęły się zmieniać. Dawne słowa dewalutowały się. Trzeba było nowych słów, wielkich na swój sposób, ale oszczędnych, konkretnych i powściągliwych.

Dla wielu ludzi lewicy duże słowa wciąż miały pełne pokrycie emocjonalne. Wyrosły w tamtych czasach, a teraz wciąż jeszcze byli pod obstrzałem — w przenośni, a często jak najdosłowniej. Dla nich to był dalszy ciąg.

Jednocześnie socjalizm stał się zawałem. Runęły ogromne stada karierowiczów na obficie posad. W biegu wymachiwali czerwonymi językami, wysuwali wciąż ten jedyny swój socjalistyczny walor. Rzeczne wielkie słowa ludzi walki zmieszały się z usługowym krzykactwem. I wówczas powstał ów potworny cocktail, język sloganów i nalepek, gazetowy żargon socjalizmu. Narodziła się Drętwa Mowa, pancerz, tarcza i miecz oficjalnych wystąpień.

Szesnastoletni człowiek ma swój rozum, w lot chwytą rozdziewki między wielkimi słowami, a ich anemiczny emocjonalny zaplecze. Słowo „drętwa mowa” zdaje się dobrze opisywać wielkie polacie rzeczywistości. Szesnastoletni człowiek zawsze demaskował świat. W tym wieku ma się skłonność do uogólnień. I stawia się wówczas niezbędne znaki równania. Drętwa mowa = socjalizm.

Przy okazji dyskredytuje się wszystkie kręgi wartości, cały ludzki dorobek, który socjalizm adoptował. Wszystkie klamają. Życie jest nudne.

W kapitalizmie ów młodzieńczy weltschmerz zwracał się często przeciw dłaństwu, pchał w szeregi walczących. Dziś ten weltschmerz odpycha młodego człowieka od zabiegów pedagogicznych, którymi go raczymy.

„Trzeba mieć drugie życie” — trzeba je udułnić własnymi środkami, anarchizującą draką. No i poza tym trzeba się urządzić. Krag „drętwej mowy” sieje spustoszenie. Dziś sześćszesnastoletni dzieci są dorosłymi ludźmi. Ich oczu nie przesłania sentymentalna mgiełka. Nie umiemy często algebry i geografii, ale znamy wartość pieniądza, smak miłości, śmieszność wielkich słów, korzyści obłudy. My dochoziliśmy do tej gorzkiej dojrzałości znacznie później. Ta nasza dzisiejsza młodzież” przechodził rwoje Sturm und Drang Periode diałobokretnie.

Ich życie emocjonalne zdaje się nie osiągać w żadnej dziedzinie (z polityczną na czele) ekstremum nienawiści i miłości. Ich uczucia oscylują w skromniejszych granicach: od ostrej niechęci i obrzydzenia poprzez nieufność i fineznyne odcienie żnuźności, łagodnej aprobaty aż do zainteresowania i entuzjazmu bardzo specjalnego rodzaju, bardzo rzeczowego i powściągliwego, krytycznego, a już nade wszystko oszczędnego w wyrazy.

Dużo w tym po prostu fasonu. Nie dajmy się nabrać W czasach Byrona damy, osłone z natury, podnosiły co pewien czas do oczu perfumowane chusteczki. Był popyt na sentyment. Teraz na cynizm. W ogóle w „tej naszej dzisiejszej młodzieży” wszystko me'ne jest i popłatane. Gruby hedonizm, gorzkie rozczarowania, rzetelność wewnętrzna i młodociane wężelnarstwo. Rozpłatanie tego wszystkiego to bardzo ciężka praca.

Jakże trudno otworzyć te za-trzaśnięte dusze, jakże trudno oddziaływać na ten dorosły, impregnowany od wszelkich wpływów świat.

I kto to ma zrobić? Kto to może zrobić?

KRYZYS AUTORYTETÓW

Jeśli chce się kogoś wychowywać trzeba mu imponować. Można też oddziaływać perswazją (przekonywać) albo też wzbudzać strach. Ale kiedy wychowawca imponuje, perswazja i przymus są znacznie skuteczniejsze.

Szkola, organizacja, rodzina, społeczność i dom kultury — wszystkie te instytucje są dość bezsilne wobec wdechów: chuligańskich. Ludzie, te instytucje reprezentują, nie imponują, strachu wzbudzają niewiele, zaś ich perswazja naszej młodzieży całkiem się nie ima.

czego? Przyczyny są na pewno bardzo złożone i różnorodne. Zajmijmy się tą sprawą trochę bliżej na przykładzie szkoły.

(Pomnę tu szeroko ostatnimi czasami dyskutowane niedomaganie organizacji zetemopolskiej. Ramy artykułu zmuszają do ograniczenia tematu).

Oświata znajduje się u nas od lat dziesięciu w stadium wybuchowego rozwoju. Cyfry są w najwyższym stopniu optymistyczne, tak optymistyczne, że możemy ich sobie w tym szkicu oszczędzić.

Wiemy, że piękny i odpowiedni zawód nauczyciela cieszy się u nas poważaniem bardzo oficjalnym. Wiemy także, że młodzi ludzie kończący szkoły średnie bronią się rękami i nogami przed berferką. Nauczycielem zostaje ten kto ma najmniej stosunków, energii i inwencji. Rezultat — w szkołach pedagogicznych mamy o 50 proc. więcej ocen niedostatecznych niż w innych. Lastik w „Nowej Kulturze” pokazał dobitnie co kryje się za ocenami dostatecznymi. Robi się smutno i przestajemy się zdziwić, że nauczyciel imponuje uczniowi w wypadkach niesłychanie rzadkich.

LATWE ŻYCIE

Dość często spotykamy się z poglądem, że młodzież dzisiejsza ma po prostu łatwe życie i stąd wszystkie kłopoty wychowawcze. Sporo w tym prawdy.

Przed wojną młody człowiek trudniejszą miał młodzież, nie łatwo było o pracę, jeśli nie należał do warstw lepiej sytuowanych nie miał zbyt wielkich szans na naukę. Praca młodocianych była bardzo ciężka, w każdym razie znacznie gorzej niż praca dorosłych. Było to m. in. źródłem silnego autorytetu ojców — głowy rodziny. Dziś te źródła autorytetu często wysychają, zarobki syna dorównują, a nawet przewyższają zarobki ojca. Był zaczyna wtedy określać świadomość młodego przedstawiciela zwycięskiego proletariatu w sposób zgoła nie przewidziany. Możliwość uczenia się nie napędza młodzieży wdzięcznością do socjalizmu, bynajmniej, jest traktowana jako coś samo przez się oczywistego. Wiele mała wagę przywiązuje do swego wykształcenia. M. in. wpływa na to fakt, że człowiek bez wykształcenia w niektórych gałęziach przemysłu i budownictwa po krótkim kursie uzyskuje może wyższe zarobki niż absolwent średniej, a nawet wyższej szkoły.

Powszechnym jest zjawiskiem, że młodzież zarówno pracująca, jak ucząca się traktuje zawód czy naukę jako zło konieczne, czynności przymusowe. Oprócz tego oficjalnego życia stara się stworzyć sobie drugie życie — chuligańskie lub wdechowe, zorganizowane na zupełnie innych zasadach. I właśnie to drugie życie wypełnione czynnościami dobrowolnie wykonanymi nadaje smak i sens istnieniu.

Myślę, że próba radykalnej zmiany wdechowej i chuligańskiej postawy powieść się może tylko wtedy, gdy uda nam się wtargnąć właśnie w ówo drugie życie młodzieży, gdy uda się nam przeniknąć w atmosferę zaufania zamknięty przed nami świat dobrowolnych, nieobowiązkowych „zagrań”. Musimy zająć się tym co młodzież robi po skończonych lekcjach, po skończonej pracy.

Tu miejsce na omówienie problematyki świetlic i domów kultury. „Forsa w błoto”

Nowa Huta: Łódź to potężne wylegarnie chuligaństwa. W Nowej Hucie jest sto świetlic, a w Łodzi czterysta.

Zlikwidujmy w nareście świetlice! Z tyłu opóźnionych lokali można by zrobić biblioteki, stołówki, sklepy i mieszkania! Tytuł świetlicarzy można by przenieść do pozytywnej pracy!

Na temat świetlicowej nudy tyle było w prasie, że można by z tych artykułów sklecić plachty większe od zagli flotylii Kolumba. Nuda owa, która w tej chwili przeszyła już w stadium strukturalnej przyczyny, bardzo proste i prawie wszystkie o tym wiedza.

Jest u nas „na dzienne” coś koło trzydziestu świetlic, przyporządkowanych do najprzeróżniejszych instytucji. Wiedziałem sporo kierowników tych świetlic. Mój Boże — chciałoby się wyć! Jakieś banki, inwalidzi, najgorzej chęba w hotelach robotniczych, ledwo to żyje, a ma zorganizować życie kulturalne dla paruset chłopów najczęściej równie „kulturalnych” jak sam świetlicowiec, a każdy zdrowy jak byk i zarabia pięć razy więcej od mistrza.

Wśród trzydziści świetlicowców „na dzienne” rok temu jeszcze było trzech ludzi z prawdziwego zdarzenia. Niestety, w kwietniu (piękny w tym roku mieliśmy kwiecień) serca ich lekko miłyście zabłyły. Solodżili dzieł. Jedną uciekł więc do przemysłu, a drugi został bankowcem. Trzeci jeszcze się trzyma, wziął dodatkową posadę, ciągle jest śpiący — ziewa. Ale się trzyma. Zrobił zespół taneczny i chór. Więcej sam nie zrobi. Bankowiec go odwiedza, z dobrego serca prowadzi zajęcia kółka radiomaniaków. Natura cwanie wilka do lasu, co? Kiedy w lesie głodno. Właśnie czasu mojego wyjątkowego świetlicowca pożerały zakupy, odprawy, sprawozdania, planowanie i ba, nawet zamiatanie.

Zlikwidujmy wreszcie świetlice! Z każdej setki świetlic zrobmy dwadzieśki pokoików rozproszonych — dwa — trzy domy o kilkunastu pomieszczeniach z jedną salą imprezową każdy. Spośród setki świetlicarzy tych kilku z prawdziwego zdarzenia wysunąć na odpowiedzialne, znośnie płatne stanowiska. Wtedy nie uciekną i nie będą śpiący. Z reszty wybrać najznośniejszych, doszkolić „ustawić” organizacyjnie. Pod kierownictwem mogą z powodzeniem funkcjonować jako personel pomocniczy. Kredyty setki likwidowanych świetlic „capań” dla owych domów kultury. Będzie to zresztą za mało. Ale dom kultury zawsze sobie łatwiej wyszukuje do-

datkowe kredyty, zresztą trochę dorobi imprezami płatnymi.

Dla wielu, wielu ludzi zainteresowanych sprawami oświaty poza-szkolnej są to rzeczy oczywiste. Doszli do tych wniosków dziesiątki i setki razy. Mimo to lądzie się wciąż grube miliony w błoto, uprawia chałupnictwo kulturalne, niezmierne mało wydajne formy pracy oświatowej. Dlaczego nikt się do tego nie weźmie? Jeżeli nie mam racji, proszę mi udowodnić!

Sprawy te trzeba załatwić nie za nerwowo i z głową. Na pewno nie ma sensu likwidować świetlic wiejskich. To zupełnie inna sprawa. W miastach zaś warto by zlikwidować nie tylko wiele świetlic, ale i część domów kultury. Myślę o placówkach przy zakładach pracy. To sprawa bardzo delikatna, są one często przedmiotem dumy kierownictwa i załogi, ale ich „wydajność” jest b. niska. Powód prosty.

Warszawiak jedzie często do pracy godzinę. Potem godzinę z powrotem. I polem co? — znowu dwie godziny kraść po mieście? Za tę cenę nie każdy goździ się być kulturalny. Do domu kultury musi być niemal tak blisko, jak do najbliższego punktu zbornego chuligańskiej paczki. Akcje oświatową trzeba prowadzić nie w oparciu o zakład pracy, ale o rady dzielni-



rys. Jerzy Cwiertnia

cowe, nie tam gdzie człowiek pracuje, ale tam gdzie mieszka.

DOMY KULTURY

Z tego co powiedziałem wynika, że jestem entuzjastą domów kultury. Mimo to mam poważne zastrzeżenia do stylu pracy tych instytucji. Tyle tylko, że o świetlicach po prostu szkoda gadać, natomiast o domach kultury gadać warto i to nawet bardzo warto.

*

Obserwujemy bardzo często fiasco wychowawczego oddziaływania domów kultury w pracy nad młodzieżą chuligańską i wdechową. Składa się na to kilka przyczyn.

Domy kultury uciekają od chuligaństwa, a chuligani uciekają od domów kultury. Zdanie to na pewno nie jest słuszne w całej rozciągłości, wymaga wielu omówień i obwarowań:

a) Domów kultury jest za mało. Kierownictwo może przyjąć i obsługiwać tylko nikły procent zgłaszających się młodzieży. O selekcji decyduje szkoła. Prawo należenia przynadla wtedy oczywiście uczniom o dobrym zachowaniu i postępkach w nauce. Chuligani rzadko błyszczą tymi zaletami. Wdechowcy też nie za często.

b) Chuligan nie zmienia się zwykłe od pierwszego wejrzenia. Jeśli nawet trafi do domu kultury i zaczynając tam bywać staje się zwykłą przyczyną paru awantur; niezliczony personel nie zawsze ma możliwość wnikliwie i indywidualnie konsultować załagę, bawić się w subtelne oddziaływanie pedagogiczne. Chuligan bardzo często jest w końcu wyrzucony z Domu.

c) Wdechowiec rzadziej popada w załagę z instruktorem czy kierownictwem, ale wdechowiec korzysta z Domu nie przestając ani na chwilę być wdechowcem. Związczą ulubione zajęcia techniczne i sportowe doskonale do tego celu się nadają. Niby gołąbki Kopciuszka wydzubują wdechowy ziarenka wdechowego maku spośród piasku drętwej mowy.

d) Znaczna część domów kultury tak jkkoś dziwnie urządza zajęcia dla młodzieży, że obejmują tylko dzieci do 15 lat.

Wiek 16—20 lat niech sobie młody człowiek przechuligan. Proszę nie myśleć, że ja się czepiam, to jest bardzo trudna młodzież, nie ma jeszcze wypracowanych metod postępowania z nią, kierownictwo musi wykazać się w sprawozdaniach frekwencją. Tam gdzie są zajęcia dla młodzieży w wieku chuligańskim

sałe świecą pustką. (Tylko domy na Starym Mieście i na Targówku potrafią sobie jakoś radzić mimo bardzo trudnych warunków).

Tu dochodzę do sedna sprawy. Formy oddziaływania domów kultury są dotychczas zbyt ubogie. Nie zmuszają młodego chuligana czy wdechowca do ostrej zasadniczej rewizji ich odruchowego światopoglądu, umożliwiają wymigiwanie się od wewnętrznej rzetelności. Brzmi to ogólnikowo. Spręczyjmy:

Dwie są główne formy pracy w domach: Zajęcia w kółkach zainteresowań i imprezy masowe. Zajęcia w kółkach mają charakter specjalistyczny. Wywierają one często duży wpływ na kierunek studiów, wybór pracy zawodowej. Wyrabiają systematyczność, zmysł ciągłości. Niestety, żeby trafić do kółka zainteresowań, trzeba mieć już uprzednio zainteresowanie.

No i jak wspomnieliśmy kółka zainteresowań dadzą się doskonale zgrać z postawą wdechową.

Druga forma oddziaływania — imprezy masowe — zdawałoby się powinna uzupełniać specjalistyczną pracę kółek o elementy kultury ogólnej. Niestety to „zdawałoby się”, nazbyt jest optymistyczne. Imprezy masowe w domach kultury były do niedawna klasyczną domeną drętwej mowy, bardzo nachalnego, nieskutecznego „upolityczniania” przy

ich nie było widać. Klasyczne instytucje wychowawcze to maszyny ciężkie, małożwrotne, niełatwe do manewrowania.

ROZWAŻANIA ZASADNICZE

Stawiam tezę, że najpilniejszym zadaniem w chwili obecnej jest stworzenie specjalnych instytucji badawczo-wychowawczych, które by mogły pełnić rolę sztabów ofensywy kulturalnej. Jedną przynajmniej z takich instytucji powinna postawić sobie za główne zadanie badania postawy chuligańskiej i wdechowej, badania wprowadzone w toku prób przekształcania, tych postaw. Z omówionych dotychczas cech charakterystycznych „tej naszej dzisiejszej młodzieży” można by wydedukować charakter takiej instytucji i formy „ej pracy. Mógłbym tu przeprowadzić taką dedukację i zebrać jej wyniki w formie kilkunastu postulatów. Zamiast tego przedstawie po prostu szkielet projektu. Będzie w nim może sporo niezamierzonych apodyktyczności, ale w zamian oszczędzę czytelnikowi roz-wlekłych dowodzeń. Zaznaczam przy tym, że projekt ten jest niesmiałym wnioskiem dyskusyjnym i nie będę się upierał przy utrzymaniu koncepcji: w całej rozciągłości.

SZOK REKOLEKCYJNY

Projektowana instytucja powinna, jak zaznaczyłem, wiązać w swoim działaniu integralnie cele badawcze z pedagogicznymi; badanie postawy chuligańskiej i wdechowej winno być prowadzone w toku prób zmierzających do przekształcania tych postaw.

Skuteczność takiego oddziaływania wychowawczego w dużej mierze zależy od tego, czy uda nam się wtargnąć na prawach zaufania „w drugie życie” młodzieży.

Wdechowiec wżera się w psychikę tak głęboko, że żadne jednostronne czy jednorazowe bodźce nie mają szansy zniszczenia jej; albo odbijają się „od warstwy impregnującej” albo też zostają polknięte i asymilowane według reguł i kanonów wdechowych. Tu może coś poradzić tylko jakiś szok.

Metoda szoku, zróżnicowanych, dłuższy czas działających bodźców wychowawczych — nieraz już była stosowana. Helleńskie Panateneje, katolickie rekolekcje, teatr Villara i wspomniane Ognisko DKD, że użyję niewspółmiernego zestawienia to — jak sądzę — właściwie drogowskazy. Na jaką drogę wiodą?

Wybieramy dzielnicę miasta, w której jest kilka szkół, hoteli robotniczych, fabryk, nowe osiedle mieszkaniowe i stare dzielnice ruin, bandy chuligańskie i paczki wdechowców — słowem odpowiedni teren badań, na którym moglibyśmy się zetknąć z interesującymi nas zjawiskami. Przygotowujemy nasz szok: kilka parogodzinnych spektakli podawanych w tygodniowych na przykład odstępach.

Pierwsza impreza musi zapowiadać atrakcję, którym żaden młody człowiek nie może się oprzeć. Sam jej klimat musi z miejsca oszołomić, zachwalać dotychczasową postawę, usunąć, uprzedzenia, zmusić do ocknięcia. Łatwo to oczywiście napisać, trudniej zrobić. Wylania się problem formy, wykonawców, repertuaru.

Potrzeba stałej i doraźnej współpracy paru wirtuozów kunsztu pedagogicznego, ludzi, którzy mogliby imponować. Recepta jest w zasadzie prosta: nie zasuwaj drętwej mowy, nie upokarzaj, przekonywać bez przekonywania — samym układem faktów.

Miałem ostatnimi czasami okazję dokonać kilkunastu zaskakująco prostego odkrycia: ilekroć przeciętny wdechowiec zetknie się, z człowiekiem nie zasuwającym Drętwej Mowy a jednocześnie uznającym supremację jakiegoś kręgu wartości (mniejsza o to jakiego), objawiają niezmierne żywe zainteresowanie tymi wartościami.

Jest nawet osobny zwrot używany w takim wypadku w specjalnej infonacji jak gdyby z przekąsem dla pokrycia nuty entuzjastycznej aprobaty:

„Pasuje?”

Jeżeli krag wartości uznawanych przez owego człowieka nie stoi w zbyt rażącej sprzeczności z dotychczasowym inwentarzem kulturalnym owego człowieka, bardzo łatwo o zachwianie wdechowej a nawet chuligańskiej postawy...

Wystarczy kilka wstępnych eksperymentów żeby się przekonać, iż pancerz wdechowy nie we wszystkich punktach jest jednakowo mocny i szczelny. Pewne atrakcyjne węzły tematyczne, pewne kompleksy wyobrażeń aż się proszą o umieszczenie w repertuarze szoku rekolekcyjnego. Dla przykładu podam problematykę dżezowo-murzyńską, astronauczną, hiszpańsko-portugalską („kompleks seniority”), wietnamską. Za furtki, przez które kultura może wtargnąć do wdechowej twierdzy.

I tak na przykład obecność Siqueirosa w Warszawie jest świetnym pretekstem do spularyzowania plastyki meksykańskiej i wojny hiszpańskiej 1937 roku. Przykład innych tematów: epopea karaweli portugalskiej; księżyc przez teleskop, modele Marsa, Wenus i Ziemi z zaznaczeniem widocznych szczegółów powierzchni i czap biegunowych; kapitalne plakatowe rekonstrukcje krajobrazów minionych

epok w wersji Buriana-Aguensty; Wietnam w wersji Kobrzeja i Zulkrowskiego; kilka węzłowych point pawłowizmu eksponowanych przy mocy tresowanej małpy i pierwotniaka (przez mikroskop projekcyjny). Jako przerywniki — taśmy magnetofonowe ze świetną muzyką dżezową, hiszpańską, z pieśniami Paula Robesona, z folklorem Dahomei, do tego trochę wierszy typu Brechta czy Galińskiego.

Według tej recepty (której oczywiście nie należy traktować dosłownie) tworzymy cykl imprez w stylu jak gdyby rewii intelektualnej, przeplatanej wspólnym śpiewaniem łatwych do nauczenia jednogłosowych pieśni, podwieczorkiem, zabawą taneczną: jedna z imprez może być wmontowana w całonocną wy-cieczkę. Po każdym spektaklu pożyczamy wszystkim uczestnikom książki nawiązujące do poruszonych tematów; chodzi o to, aby w czasie kilkunastu przerw między spektaklami wdechowiec „żył wspomnieniami”, musiał rozmawiać o tym wszystkim w swojej paczce, był w sposób nieodparły podżegany do rewizji swej wdechowości.

Wypracowanie skutecznej metody przełamywania lodów (tj. owego „szoku rekolekcyjnego”) to dopiero wstępne zadanie projektowanej instytucji. Po rekolekcjach nie możemy pozostawić pacjenta samemu sobie.

Projekty dalszych prac można by zarysować mniej więcej tak: powtarzamy cykl spektakli w danej dzielnicy, różniując bodźce w zależności od adresata (inny zestaw tematów i sposób podania zastosujemy dla młodzieży szkoły podstawowej, inny dla zawodowej, inny dla studentów, inny dla hoteli robotniczych). W ten sposób dopracujemy się kilku wersji dydaktycznych naszych rekolekcji.

Po paru niesiących prac mamy już parę tysięcy „przerobionych”. Oczywiście byłoby naiwnością przypuszczać, że wszyscy, czy choćby większość tych młodych ludzi zmienią się radykalnie pod wpływem szoku. Ale w świetle wspomnianych wycinków prób mam prawo przypuszczać, że kilkaset osób na parę tysięcy przylgną jednak do instytucji w charakterze „neo-wdechowego aktywu”.

To będzie poletko doświadczalne, na którym poprowadzi się porządne badania. Celem ich będzie pogłębianie znajomości przyczyn kryzysu pedagogiki i wypracowanie metod racjonalnego upowszechnienia kultury. Szczegółowy, długofalowy projekt uformować się może dopiero w toku roboty, pod okiem wybitnych specjalistów z zakresu pedagogiki, socjologii i psychologii.

Osobiście widzę dalszą rolę instytucji w stosunku do nawróconych nie tyle jako rolę piastunki, która dostarcza wychowankowi rozrywek i zajęć, ile raczej przewodnika, który stara się pomóc w wyborze kierunku, podprowadzi kawałek, pokaze perspektywę i puści dalej w samodzielną drogę. Metaforą tak pragnę zakomunikować, że najważniejszym zadaniem wydaje mi się wypracowanie w ograniczonym zespole zarodków nowego stylu życia, który to styl miałby rozszerzać się na prawach „eoidemii”. Mniej wskazane wydaje mi się prowadzenie wzornych zajęć nie nadających się do masowego powielania.

Dalszą pracę z zespołem „nawróconych” widzę w tej chwili w postaci doraźnych, nie częstych spotkań typu zamkniętych seansów filmowych i teatralnych, zabaw, imprez turystycznych, gabinetu mikroskopowego itp., utrzymywanie stałego kontaktu poprzez wzorową poranną biblioteczną (połączoną z placówką badania czytelnictwa i odpowiednio dobranym księgozbiorem)...

Największe nadzieje wiąże z tym, że zachwianie postawy wdechowej doprowadzi w pewnych byłych wdechowców do pewnych samorządnych procesów, że tam się będzie c o s działo, „coś” upoważniającego do optymizmu.

W związku z tym niektórzy uczestnicy zespołu powinni zostać wychowawcami w badanych klasach, kulturalno-oświatowymi badanych hoteli robotniczych itp. — słowem trzymać rękę na pulsie postulowanego procesu.

Przedstawiony tu projekt mimo całej swej — typowej dla wszelkich utopii — szczegółowości, w wielu punktach jest mgławicowy.

Prace o podobnych ambicjach są na pewno kontynuowane od dłuższego czasu.

Skupienie tych partyzanckich wysiłków w ramach instytucji specjalnych (badawczo-wychowawczych), oparcie ich o istniejące placówki naukowe jest chyba potrzebą chwili. W interesie socjalizmu trzeba co prędzej przyrzec się uważnie co z chaotycznie i na oślep upowszechnionej kultury rzeczywiste „pasuje” nowemu pokoleniu. Jeśli nie zrobi tego, wdechowiec szerokiego kręgu młodzieży przejdzie w stadium chuligańskie i strukturalne.

*) W związku z tym warto zapytać, czy słuszną była decyzja likwidowania Młodzieżowego Domu Kultury w Warszawie. Formalnie MDK przeniesiono do Pałacu Młodzieży zaś budynek przekazano szkole ZMP. Czy w stolicy nie było miejsca dla dwóch instytucji oświaty pozaszkolnej?

PIOTR de RONSARD

przełożył LECH EMFAZY STEFAŃSKI

ilustrowała MAJA BEREZOWSKA

Oda ku chwale róży

Rozrzućmy róże przy winie,
przy winie róże rozrzućmy,
niech wonność i napój płynie,
a pijąc już się nie smućmy —
niech żalność w sercach przemienie.

Bo róża wiosenna zda się,
Aubercie, nam przykazywać,
abyśmy — w uciśnieniu czasie
młodości — chcieli używać
lat swoich w pełnej ich krasie.
Jak ona z przedka wędnieje,
gdy bywa za dnia spiekota,
tako i z jami się dzieje,
biada!! — i wiosna żywota
nie wiedzieć gdzie się podzieje.

Widziałeś Brinona rano,
jak pił i gadał wesoly?
Niestety! — oto oddano
ziemi znikome popioły,
co jeno mają zeń miano.

Swey i aierci nikt nie uwierzy.
Charon zagarnia do sieci
z biednymi pospołu rycerzy
lecz, różo, przecie czas leci,
zaś pieśń się tobie należy.

Wszystkiemu cześć róża czyni,
śród kwiatów nie ma równego,
niby ich świetna władczyni,
i dla mnie zwie się dlatego
fiółkiem Kyprijskiej Bogini.

Róża jest darem Miłości
z nią Gracie igrają mile,
gdy na jej listkach zagóści
od świtu wzięta na chwilę
perełka cudnej jasności.

Różą wonieją niebianie,
w róże dziewice się stroją:
i złote świecidla za nie
da każda, bo na pierś swoją
woli wziąć z kwiatów przybranie.

P IOTR de Ronsard (1524—1585) jest czołowym poetą francuskiego renesansu. Razem z kilkoma przyjaciółmi (miedzy innymi du Bellay, Jodelle, du Bait), zorganizowany mi w awangardowej grupie „Plejada”, dokonał wielkiego przewrotu literackiego. W miejsce kierunku romantyczno-średniowiecznego w literaturze — postawił zasadę naśladowania wzorów antycznych. Łacinę — zastąpił francuszczyzną, która niezwykle wzbogacił i wysubtelnił.

W czasie pobytu we Francji, Kochanowski zapoznał się z dziełami Ronsarda i przejął jego idee — odtąd uważał Ronsarda za swego mistrza.



Czy bez niej nie ma urody?
Z róży jest piękność rozliczna:
Wenus ma z róży jagody,
a palce Aurora śliczna
i z róży są słońca wschody.

Nimfa wstydliwie na łonie
różane ramiona składa,
i Hebe z róży ma dlonie,
a Gracja na łeczku błęta
różami owija skronie.

Ja także chcę być wieńczony
niby zwycięstwa laurami;
niech Ojciec dwakroć zrodzony
tu przyjdzie i piję z nami
przez tysiąc róż otoczony.

Bo Bachus rozmiłowany
w płateczkach żywo barwistych
zawsze ma wieniec różany,
pijąc w winnicach cienistych
aż do koszuła rozdzielany.

Oda do Kassandry

Slicznotko, pójdziemy zobaczyć czy róża,
co o świtanu u wierchołka wzgórza
stała dumnie w strój szkarłatny zdobna,
nie utraciła już tego wieczoru
faldów odzienia, któremu z koloru
twojego łeczka rumianość podobna.

O, jakże rychło wiek jej minął — biada!
popatrz, ślicznotko — oto już opada
na ziem ostatek wdzięków jej postaci.
Naturo, matką nie możesz być zwana,
gdy kwiat ów taki urodziwy z rana
przez cię do zmroku całą krasę traci!

Przeto, ślicznotko, jeśli mam twą wiarę,
kiedy ci dane ledwie roków parę
na czas kwitnienia najpiękniejszej młodości —
użyj jej darów, użyj póki pora,
bo starość, jako tej róży z wieczora,
sprędką zabierze blaski twej piękności.



Oda XXXII

W rozlicznej ziemi widywano,
ciała, co dziwnie się zmieniały
w postać przez siebie pożądaną:
we źmije, albo okrucu skały,

to w wilka, tamto w gołąbeczką,
to w drzewo, tamto w polne ziółko,
jedno znów biegnie jako rzeczka,
zaś inne stało się jaskółką.

Lecz ja bym postać wziął zwierciadła,
byś co dzień we mnie się patrzała;
koszuli, byś mnie na się kładła
dając dotykać twojego ciała.

Pragnę być wodą, byś co rano
we mnie swe zanurzała dlonie;
chciałbym wonnością być różaną,
abym namaszczał twoje skronie.

Pragnę być wstęgą, która ciasno
dookoła twoją pierś owija;
lub perłą chciałbym zostać jasną,
w którą się stroi twoja szyja.

A przecież byłbym najszcześliwszy
gdy koralową warg barwiczką
trwałę się na nich położywszy
całowałbym twe piękne łeczko.

Dziś jest piątek

tłum.
KRZYSZTOF KLINGER

Od tłumacza:

Przedkładając czytelnikom PO PROSTU utwór Hemingway'a, chcę zaznaczyć, że choć uzyskał on w łonie Redakcji ogólną aprobatę jako dzieło literackie bardzo wysokiej próby, to jednak jego interpretacja wywołala szereg sprzecznych sądów.

Będąc z racji tłumaczenia pierwszym krytykiem czuję się w obowiązku (jeśli tak to można określić) podania przyczyn, które mną kierowały przy wyrażeniu tego zdania. Być może zapoczątkuje to dyskusję nad Hemingway'em, który przez długi czas był bardzo ostro krytykowany (np. Kalużyński) i w gruncie rzeczy nie doczekał się dotychczas pełnej i sprawiedliwej oceny. Warto pamiętać przy próbie umiejscowienia i określenia twórczości pisarza, że jest on uważany za jednego z najwybitniejszych żyjących twórców anglosaskich. Każde jego nowe dzieło jest wydarzeniem w świecie literackim. Zawazył on też szczególnie silnie na całej plejadzie pisarzy.

Nie analizując wnikliwie pisarstwa Hemingway'a jego polscy przeciwnicy zarzucali mu naturalizm, pesymizm i minimalizm, brak określonego światopoglądu.

* * *

Późnym wieczorem w winiarni siedzi trzech rzymskich żołnierzy. Pod ścianami beczulki. Za drewnianą ladą stoi hebrajski sprzedawca wina. Żołnierze są z lekka podpici.

Pierwszy żołnierz — Próbowałeś czerwonego?

Drugi żołnierz — Nie, nie próbowałem.

Pierwszy żołnierz — E, to musisz spróbować.

Drugi żołnierz — Można. Hej szefie, daj pan czerwonego.

Sprzedawca wina — Proszę, panowie. To coś dla was. (Stawia kamienny dzbanek, który napełnił z jednej z beczulek). Doskonałe winko.

Pierwszy żołnierz — Sobie też pan nalej. (Odwraca się do trzeciego żołnierza opartego o beczkę). Co ci jest?

Trzeci żołnierz — Brzuch mnie boli.

Drugi żołnierz — Pewno piłeś wodę.

Pierwszy żołnierz — Spróbuj trochę tego czerwonego.

Trzeci żołnierz — Nie mogę pić tego świństwa. Skrzęca mi kiszki.

Pierwszy żołnierz — Siedzisz tutaj za długo, ot co.

4 P O P R O S T U

du, niewrażliwość na zjawiska społeczne i multum innych grzechów. Jego pozornie beznamiętny styl, pozbawiony z zasady odautorskiego komentarza, wprowadził w błąd wielu krytyków, nie znających dobrze specyfiki życia amerykańskiego i doprowadził ich do twierdzenia, że nie angażuje się on uczuciowo po stronie swych bohaterów, nie wartościuje ich czynów, dając po prostu brutalny obraz bezsensu życia (znana jest przy tym preokupacja Hemingway'a problemem śmierci).

Ten wielki mistrz stylu jest może najlepszy w swych krótszych utworach, których konstrukcja zadziwia niebywale dramatyczną dynamiką. Co mnie uderza w „Dziś jest piątek”? Dlaczego zaproponowałem ten utwór Redakcji? Otóż widzę w nim wielką odkrywczość spojrzenia na wypadki, na które wielu z nas patrzy przez pryzmat Biblii, dwutysięcznej historii kościoła i szerokiego nurtu tradycji. Czym by była legenda Chrystusa w przeżyciach współczesnych żołnierzy amerykańskich, gdyby to im przypadło dziś wykonać to, co wykonali wówczas rzymscy żołnierze? Odpowiedź na to pytanie dają cztery postacie tego niezwykłego dialogu.

Małecki ten utwór ukazuje pełną wielkość Hemingway'a.

* * *

Trzeci żołnierz — Myślisz, że sam tego nie wiem?

Pierwszy żołnierz — Słuchaj no pan. panie szefie, czy nie ma pan dla niego czegoś na żołądek?

Sprzedawca wina — Znajdzie się. (Trzeci żołnierz próbuje napoju, który mu sprzedawca wina przygotował).

Trzeci żołnierz — Coś pan tam wysypał, wielbłądzie cukierki?

Sprzedawca wina — Proszę wypić to do dna, panie kapralu, to panu dobrze zrobi.

Trzeci żołnierz — Powiadasz pan? I tak już mi gorzej być nie może.

Pierwszy żołnierz — Pij. Mnie pomogło to, co mi wczoraj dał winiarnarz.

Sprzedawca wina — Pan kapral wyglądał bardzo źle. Ja wiem, co pomaga na chory żołądek.

(Trzeci żołnierz wypija napój).

Trzeci żołnierz — O Jezu. (Wykrzywia się).

Drugi żołnierz — E, nie wyjeżdżaj z tym Jezusem. To był fałszywy alarm.

Pierwszy żołnierz — Daj spokój, on się całkiem dobrze trzymał.

Drugi żołnierz — Ale z krzyża to nie zszedł.

Pierwszy żołnierz — Nie zszedł, bo nie chciał. O co innego mu chodziło.

Drugi żołnierz — Pokaż mi gościa, który by nie chciał zejść z krzyża.

Pierwszy żołnierz — Człowieku, co ty tam wiesz. Zapytaj się winiarnarza. Szefie, czy on chciał zejść z krzyża?

Sprzedawca wina — Mnie przy tym nie było, panowie. Tą historią ja się wcale nie interesowałem.

Drugi żołnierz — Słuchajcie, ja widziałem dużo takich — tu i gdzie indziej. Jak mi pokażecie takiego, który by nie chciał zejść z krzyża, liedy ta najgorsza chwila nadejdzie, to ja sam z nim wleję na krzyż.

Pierwszy żołnierz — On się dobrze trzymał.

Trzeci żołnierz — Całkiem nieźle.

Drugi żołnierz — Wy nie rozumiecie, o co mi chodzi. Ja nie mówię, czy on się trzymał dobrze, czy źle. Mnie chodzi o to, że jak się gościa zaczyna przybijać, to nie ma takiego, który by nie wstrzymał tego, gdyby mógł.

Pierwszy żołnierz — Nie przyglądał się pan, panie szefie?

Sprzedawca wina — Nie, zupełnie się tym nie interesowałem, panie kapralu.

Pierwszy żołnierz — Byłem zdumiony jego zachowaniem.

Trzeci żołnierz — Och, nie lubię ich przybijać. Marny ich los wtedy.

Drugi żołnierz — To jeszcze nie jest takie złe, gorzej jest, gdy się zaczyna ich podnosić. (Złożywszy dlonie naśladuje ruch podnoszenia). Gdy zaczynają zwisać. Mają wtedy za swoje.

Trzeci żołnierz — Niektórych to cholernie bierze.

Pierwszy żołnierz — Czyż nie widziałem, widziałem ich całe masy. Mówię wam, że ten się bardzo dobrze trzymał.

(Drugi żołnierz uśmiecha się do sprzedawcy wina).

Drugi żołnierz — Szefuniu, a pan mi coś wygłada na jednego z tych chrystusików.

Pierwszy żołnierz — Co się będziesz z niego nabił. Tamten, mówię wam, bardzo się dobrze trzymał.

Drugi żołnierz — Napijemy się jeszcze wina?

(Sprzedawca wina patrzy wyczekująco. Trzeci żołnierz siedzi z opu-

szczoną głową. Wygląda jakby był chory).

Trzeci żołnierz — Ja już nie chcę więcej.

Drugi żołnierz — No, to tylko dla nas dwóch, szefie.

(Sprzedawca wyciąga dzbanek wina, mniej więcej niż poprzednio. Przechyla się nad drewnianą ladą).

Pierwszy żołnierz — Widziałeś jego dziewczynę?

Drugi żołnierz — Czyż nie stałem obok niej?

Pierwszy żołnierz — Ładniutka.

Drugi żołnierz — Ja ją znałem, zanim zaczęła z nim chodzić. (Mru-ga do sprzedawcy wina).

Pierwszy żołnierz — Widywałem ją na mieście.

Drugi żołnierz — Dobrze jej się powodziło. Ale on jej szczęścia nie przyniósł.

Pierwszy żołnierz — Tak, szczęścia to on nie miał. Ale tam bardzo dobrze się trzymał.

Drugi żołnierz — A co się stało z jego bandą?

Pierwszy żołnierz — Rozsypali się. Tylko kobiety go nie opuściły.

Drugi żołnierz — To była dość tchórzliwa ferajna. Gdy widzieli, jak idzie na górę, nie ruszyli nawet palcem.

Pierwszy żołnierz — Kobiety jednak go nie opuściły.

Drugi żołnierz — Tak, one z nim były do końca.

Pierwszy żołnierz — Widziałeś, jak wsadziłem w niego włócznię?

Drugi żołnierz — Za to wsadzanie włóczni jeszcze kiedy oberwiesz.

Pierwszy żołnierz — Przynajmniej to musiałem dla niego zrobić. Mówię wam, on się tam dobrze trzymał.

Sprzedawca wina — Panowie, muszę już zamykać.

Pierwszy żołnierz — Weźmiemy jeszcze jedną kolejkę.

Drugi żołnierz — Po co? To wino nie daje. Chodźmy, trzeba iść.

Pierwszy żołnierz — Tylko jeszcze jedną kolejkę.

Trzeci żołnierz (wstając z beczki) — Nie, chodźcie. Ruszajmy. Czuję się okropnie dzisiaj.



rys. Barbara Jonscher

W strachu przed nowoczesnością

Dążenie do nowoczesności nie jest zjawiskiem właściwym wyłącznie człowiekowi współczesnemu. Również i przeszłość miała swoiste wyobrażenie nowoczesności. Nowoczesność nabierała szczególnej aktualności w okresach historycznych przełomów i była wówczas prawie zawsze zewnętrznym obrazem „nowego”, to „nowe” zaś prawie zawsze było synonimem postępu. Ta znana prawda nie wymagałaby przytaczania, gdyby spór pomiędzy nowoczesnością a staroświeckością nie był na czasie dzisiaj. Wojna toczy się w płaszczyźnie artystycznej działalności — w sztuce.

„Zabytkowicze (nie mylić z miłośnikami zabytków) narobili nam bałaganu” — wyrażamy się powszechnie o tych, którzy na przekór naturalnemu dążeniu sztuki do wypracowania nowoczesnych form przemawiania postawili sobie za cel kult naśladownictwa sztuki przeszłości. Malarstwo zaczęło grzęznąć w realizmie dziewiętnastowiecznym, architektura — zaś upodobałszy sobie renesans i klasycyzm w teorii — w praktyce holdowała historyzmem ubiegłego stulecia.

GLÓD TRADYCJI

Cheć mówić o architekturze. Źródłem wyjścia dotychczasowego kierunku było hasło: „Tworzym architekturę narodową w oparciu o dziedzictwo artystyczne naszej przeszłości”. Czy hasło to zostało źle postawione, czy, źle zrozumiane? Artysty oskarżają teoretyków o pierwsze, teoretycy artystów o drugie. Rozpatrzmy fakty.

Kilka konferencji, kilka dyskusji, kilka artykułów—decyzja podjęcia: oczywiście, że właśnie renesans i klasycyzm; ogólniki o narodowości, ludowości i postępowości tych stylów; nakaz twórczego do nich sięgnięcia. To wszystko teoria, która zagadnieniom nie pogłębiła i pozostawiła w sferze oczywistego niedomówienia. Architekt, człowiek praktyki żąda prawd jasnych, konkretnych, które by mógł przetłumaczyć na plastyczny język realizacji twórczej. Teoria i krytyka bynajmniej tych wskazań nie dały.

Wczym sprawę historyczną. W okresie gdy to się działo trzeba było projektować szybko i dużo. Pracownie architektoniczne przeciążone były ogromem zamówienia społecznego. W takim stanie rzeczy napłynęły owe nieokreślone wołania o architekturę narodową. Wielokrotnie żądaniem tym nadawano aspekt obowiązków ideologicznego i wielokrotnie architekt, w obawie by nie być posądzony o kosmopolityzm i „by projekt przeszedł”, pakował gdzie się dało atyki i kolumny.

Łatwiej krytykowi wskazywać i lajać. W słownej żonglerce zawsze znajdzie się zapasowa furka. Inaczej architektowi, którego twórczość jest faktem nieodwracalnym. Dom stoi, zmienić się nie da, choćby się nie raz chciało. Gdy teoretyk nakazał tworzyć w oparciu o przeszłość renesansowo — klasycystyczną, czy można było spodziewać się innych rezultatów niż te, które zaistniały, innej drogi niż ta najprostsza — droga naśladownictwa?

Forma historyczna — oto rozumienie postulatów czerpania z dziedzictwa przeszłości. Prosta, zdyscyplinowana, symetryczna w planie, spokojna, a więc wydawałoby się, że odpowiadająca pojęciu realizmu architektura nowoczesna — nie wystarczała. Był głód konkretnego „nawiązania”. Uważano, że wystarczy uczynić tylko jeden krok; nałożyć historyczną formę na nowoczesną architekturę, by stała się ona architekturą socjalistyczną w treści a narodową w formie.

Nikt nie zaprzeczy, że właśnie ów tradycyjizm z dodatkiem „twórczy” był głównym kryterium oceny. Przytoczmy opinię Komisji dla oceny projektów budynków typu halowego z r. 1951. Projektowi na Dworcu Zachodni zarzuca się „brak... twórczego nawiązania do tradycji”. Domowi Kultury w Ozimku „brak związku z tradycją”, ale wychwała się kąpielisko w Łodzi za „widozeczne nawiązanie do tradycji”, a Teatrowi Wojska Polskiego o kolumnadzie wysokiej na 18 metrów przyznaje się „...zgodność idei. Słuszność hierarchii. Twórcze nawiązanie do tradycji”.

KLASYCYZM A WSPÓŁCZESNOŚĆ

Architektura ostatnich lat w przeważającym miarze jest architekturą naśladowczą. Inna skala, inna technika, inna konstrukcja, inna treść — to wynik odległości czasowej od wzoru. Są różne naśladownictwa. Mogą być twórcze i bierne. Współczesna architektura skazana jest na naśladownictwo fałszywym i nieszczerym: eklektycznym i kompilacją źle przetrawionych wzorów.

Może ktoś sądzić inaczej i podnieść współczesny „klasycyzm” do rangi porównania z klasycyzmem Wielkiej Rewolucji Francuskiej, która wyrażała nowe i postępowe treści nawiązała do wzoru starożytności. Nie, nasza architektura czyni inaczej. Tam to nawiązanie było twór-

cze, antyk był oślnieniem, był nowością — był nowoczesnością. Natomiast nasza architektura stawia siebie w podobnej roli co historyczny drugiej połowy XIX w., które również na nowe kształty nalepiały historyczne dekoracje.

Studiując życie i twórczość wielkich architektów klasycyzmu podziwiamy pasję antyku, jaką towarzyszyła ich sztuce. Pasji takiej do klasycyzmu nie znajdujemy, nie możemy znaleźć wśród naszych architektów; nawet i u tych, dla których punktem wyjścia są kolumny. Współczesny architekt obdarzony pasją klasycyzmu zasługiwałby na miano dziwaka. Antyk nie może być już dzisiaj źródłem nowoczesności, przynajmniej w tym sensie, w jakim to się powszechnie czyni, w sensie przejmowania jego zdobnych elementów.

Wydaje się, że apłyk winien być tylko szkołą twórczenia, a nie naśladowania — a to są różne sprawy. Przetwarzanie tych samych, do dna wyeksploatowanych wzorów, osłabia i wyjąławia w końcu możliwości twórcze. Nie ma już dzisiaj chyba potrzeby podążać wytartymi ścieżkami akademizmów przeszłości. Czyż w mieszczeniu Rewolucji Francuskiej musimy koniecznie widzieć uo-

nicznym? Szkoda, doprawdy szkoda całego wysiłku. A może jest to po prostu ostatni w tej katedrze wagon odchodzącego na kapitalistyczny Zachód pociągu wagonowej architektury kosmopolitycznej Corbusier'a”.

Oto znamienna wypowiedź na temat sytuacji w szkolnictwie architektonicznym opublikowana w 2 n-rze „Architektury” z 1951 roku. Komentarz zbyteczny.

Strach przed nowoczesnością narodził się z obawy przed posadzeniem o sympatie dla konstruktivismu, a przezeń do kosmopolityzmu, imperializmu itp. Przeciwno czemu skierowano broń: przeciwko stylowi czy przeciwko treści architektury? Styl sam przez się nie jest ani imperialistyczny, ani socjalistyczny. Może być dzieło posługujące się najnowocześniejszą formą wypowiedzi, które jest zarazem i realistyczne i postępowe.

Można się nie zgadzać z takimi czy innymi poglądami i realizacjami twórców architektury modernistycznej, lecz chyba nie można architektury, która ma już za sobą ponad pół wieku egzystencji i wspaniałego rozwoju, kłtwaować jednym określeniem „kosmopolityzm”. Wydaje mi się że przyszłość oceni dorobek twór-

MAREK KWIATKOWSKI

sobienie tych wszystkich cnót i wzorów godnych naśladowania, jakie usiłował on znaleźć w republikańskim Rzymie?

Wielbię klasycyzm za jego umiar, klasyczne poczucie ładu i harmonii, lubię go za jego dobrą architekturę, lecz nie mogę spokojnie patrzeć na jego nowe nieudolne kreacje. Architektura, która usiłuje być zarazem i nowoczesna i posłuszna klasycyzmowi — w obu wypadkach jest połowiczna, w sumie wyraża sprzeczność i wewnętrzną rozterkę.

Przydatność klasycyzmu dla współczesnej architektury wydaje się być minimalna, zwłaszcza, gdy chodzi o zabudowę wielkomiejską. Jego doktrynerskie przepisy nie mogą być kanonem obowiązującym. Odpada przy naszych potrzebach zespół form które wytworzył. Nie mogą być zastosowane ani jego kształty, ani tym bardziej dekoracje, chyba tylko proporcje i to traktowane nieobowiązkowo, z dużą swobodą i dowolnością, tak jak to zresztą również czynili w praktyce architekci klasycyzmu.

W człowieku współczesnym istnieje i musi istnieć potrzeba nowoczesności. W naszej sytuacji potrzeba ta stała się nieomal chroniczną tęsknotą. Właśnie z kultu dla postępowej, klasycystycznej przeszłości, żądam od współczesnej architektury nowoczesnych form wypowiedzi. Wszystko w swoim czasie.

MONUMENTALIZM ŹLE POJĘTY

Niektórzy architekci ubolewają nad tym, że wyraz „monumentalizm” posiada dla młodego pokolenia znaczenie obraźliwe. Jest to jednak tylko zdrowa reakcja młodych na architekturę tradycyjną. Punktem wyjścia obecnej architektury było dążenie do wyrażenia monumentalnych treści epoki socjalizmu. Wszystko byłoby w porządku, gdyby rozumienia monumentalizmu nie sprostowano wyłącznie do skali i przysiosłowej kolumny.

Jak rozumiany jest przez niektórych architektów postulat monumentalizmu najlepiej posłużyć może przykład typowy dla określonej postawy myślowej. Chodzi o jeden z projektów odbudowy Zamku Warszawskiego. Projekt ów przewidywał jako przyszłego użytkownika najwyższe czynniki państwowe. Wychoząc z tego założenia autor postanowił nadać nowoobudowanemu zamkowi konieczne charakter budowlany i bardziej monumentalny. Wydobycie monumentalizmu w jego tłumaczeniu polegało na podwyższeniu brzozy zamku i wzbogaceniu wystroju dekoracyjnego. Projekt ów poza tym przewidywał wyburzenie partii ocalałych, m.in. korytarza łączącego zamek z katedrą. Uzasadniono to tym, że... nowemu użytkownikowi niepotrzebne będzie połączenie z katedrą. Tak oto na jednym wąskim odcinku tyle nieporozumień.

Monumentalizm sam przez się nie jest rzeczą złą, chodzi tylko o umiar w jego stosowaniu, a przede wszystkim o wyrażenie go w sposób inny — za pomocą nowoczesnych środków wyrazu, a nie drogą posługiwania się wyświechtanymi rekwizytami przeszłości. W przeciwnym wypadku muszą się rodzić plody groteskowe, architektura dla popisu i parady, architektura pusta, nudna, fałszywa i zła.

NOWOCZESNOŚĆ RÓWNA SIĘ KOSMOPOLITYZM?

„...Student stara się wykonać za najlepiej zadanie, jest utalentowany i pracowity, ale w rezultacie powstaje dom według typu Corbusier'a. Czy profesor podsunął tę ideę, czy student sam natknął się na ten dom w czasopiśmie zagra-

czości Corbusier'a jako architekturę francuską. Ouda — jako holenderską Wright'a — jako amerykańską, Gropiusa — jako niemiecką. W architekturze granica między kosmopolityzmem a charakterem narodowym jest płynna, kryterium oparte o styl — połowiczne i błędne.

Bronimy się przed stylem modernistycznym mniając, że cała jego architektura w swojej istocie skazana jest piętnem kosmopolityzmu. Ale czy oparzyć się wyłącznie o wartościowanie stylowe sami mimo woli nie kierujemy broni przeciwko sobie? Co ma wspólnego tradycja architektury polskiej z tradycją architektury niemieckiej lub bułgarskiej, gdy we wszystkich wymienionych nawiązanie do tradycji dało ten sam obraz? Zestawmy tylko MDM z Aleją Stalina w Berlinie, zaś Filharmonię Warszawską z gmachem Opery w Sofii! Jeśli nasza architektura jest narodowa, to wypada jak najszybciej przestrzec naszych niemieckich i bułgarskich przyjaciół, że tworzą architekturę kosmopolityczną.

Ideologom naszej współczesnej architektury należałoby zadać pytanie: dlaczego w imię odrębności narodowej nie nawołują do zakładania sukman ludowej, dlaczego w strachu przed kosmopolityzmem nie gustują w staroświeckich pojazdach, a zachwycają się opływową linią nowoczesnych limuzyn?

KONKLUZJA

Życzeniem stało się zadość. Jaka teoria taka praktyka. Wyrosła architektura będąca świetnym odbiciem myślenia ludzi, którzy ją tworzyli. Czy możemy uznać ją jako architekturę realizmu socjalistycznego? Zle by było gdyby przylgnęło do niej takie określenie, choć istnieje wyraźne tego niebezpieczeństwo biorąc pod uwagę fakt, że była ona odpowiedzią na nakazy teorii i to odpowiedzią adekwatną.

Sztuka nie kłamie. Architektura gmachu Ministerstwa Rolnictwa (znakomita przestroga jak twórczy nie wolno) była adekwatnym odbiciem poglądów ludzi, mających wówczas w polityce kulturalnej głos decydujący.

Słuszne hasło „Sztuka należy do ludu” doczekało się niesłusznej realizacji. Czym bowiem były uzasadnione wołania o formy klasyczne? Postulatami komunikatywności. Kolumna, cokół, gzyms, arkada — miały być rzekomo bardziej zrozumiałe dla robotnika niż formy nowoczesne. Dziś możemy naocznie się przekonać co się robotnikowi bardziej podoba czy architektura MDM-u czy Stadion Dziesięciolecia. Robotnika uznano za istotę, do której trzeba przemawiać językiem elementarnym.

Mamy wiele rozbudowaną, a właściwie wiele spopularyzowaną teorię realizmu socjalistycznego. Co to jest realizm socjalistyczny — wie nieomal każdy uczeń. Mamy obfitą architekturę, która była rzekomo tworzona w myśl metody realizmu socjalistycznego. Nie mamy natomiast architektury, o której bez obawy moglibyśmy się wyrazić jako o architekturze socjalistycznej, będącej dobrym artystycznie odbiciem epoki.

Zmienimy drogę naszej sztuki, bo inaczej nigdy nie dostrzemy do celu. Zmienimy drogę w tym sensie, że będziemy jechać w tym samym kierunku, przesiadamy się tylko ze staroświeckiego, bez przerw psującego się wehikułu — do pojazdu nowoczesnego, szybko mknącego.

Trzeba rozprawić się z teorią i przeanalizować co w niej było złego. Sądzę, że pod rozważ winny być wzięte w pierwszym rzędzie dwa momenty: stosunek do dziedzictwa przeszłości i do zdobyczy współczes-

ności. Potępieniu ulec musi metoda afirmująca eklektykę, poparcie — metoda rozwijająca i przystosowująca do nowych treści zdobycze architektury modernistycznej.

Przeciwko „odrzwianemu klasycyzmowi” występuję nie w imię nowej formy dla nowego materiału, lecz w imię nowej formy dla nowych treści. Chyba nie jest się w błędzie, gdy od architektury żąda się jednoci treści z formą. Niech forma dogoni treść, za którą pozostała daleko w tyle!

Trzeba na nowy język tłumaczyć prawdy stare. Czy architektura, której formy nie przypominają Grecji — nie może być realistyczna? Czy element poziomy wsparty jednym elementem pionowym, a nie dwoma, lub czy wychylona z pionu ściana są zaraz wynikiem koncepcji wrogich człowiekowi? Natomiast czy elewacja zaopatrzona w okna zamknięte lukiem kosowym, gzymsem koronującym i dachem mansardowym — to realizm? Przecież już nawet ks. Świątkowski w r. 1782 w swym „Budowaniu wiejskim” wyklinał tych co tak budowali. No tak, ale on był klasycystą, a dzisiejsi twórcy MDM-owskiego „Łatawca” w swych archeologicznych poszukiwaniach formy narodowej widocznie pomylili klasycyzm z barokiem.

Oto sprawy, o które się trzeba na nowo spierać. Dobrze, że atmosfera dyskusji i sporów odżyła. Bez niej zdrowy i naturalny rozwój sztuki jest nie do pomyślenia.

JAK TO BYŁO?

Rzecz wzięła swój początek od skromnutkiej notatki zawiadamiającej, że redakcja PO PROSTU organizuje dyskusyjny klub filmowy, którego program obejmie również pokazy filmowe. Ogłosiliśmy, że w pierwszym miesiącu wyświetlimy „Obywatela Kane’a”, „Brzdąca”, „Czarny Narcyz” itp. i że sprzedaż kart uczestnictwa rozpoczniemy 2 października o godz. 14. Pierwszego dnia spodziewaliśmy się najwyższej kilkuset zgłoszeń.

Chcieliśmy poruszyć kamyk — spadła lawina.

Miłośników sztuki filmowej przybyło kilkakrotnie więcej niż było miejsc w klubie. Tłum zapełnił klatkę schodową tak szczelnie, że groziło zawalenie się jej. Sprzedaż kart rozpoczęła się wśród gigantycznego bałaganu. Nie przewidując takiego tłoku i nie mając organizatorskiego doświadczenia stanęliśmy oko w oko z siłami, których, choć sami wyzwoliliśmy je, nie byliśmy w stanie oparować. Bezradni byli również dwaj przybyli na miejsce milicjanci.

Došlo do tego, że gdy ogłosiliśmy zakończenie sprzedaży tłum nie odstąpił i szturmując drzwi redakcji wznosił bojowe okrzyki: „Bić redaktorów!” Zającami położył kres silny patrol Pogotowia Milicyjnego.

Historia to bodaj bez precedensu w dziejach powojennej prasy. Całą skórę zawdzięczamy szybkiej i skutecznej interwencji Pogotowia MO, które zasłużyło na wdzięczność naszych dzieci i wnuków.

REFLEKSJE

Redakcja pragnęła zorganizować klub dla swych czytelników szczególnie interesujących się filmem, pragnących poznać jego historię i dyskutować problemy X Muzy. Czyżby ów tłum szturmujący redakcyjne schody składał się z takich właśnie ludzi?

Oczywiście nie jesteśmy skłonni do wyrażania tak przesadnego optymizmu.

Studencka brać gotowa pobić członków redakcji i zdemolować jej lokal — to ci sami ludzie, którzy godzinami wystają w ogonkach, by dostać się do „normalnego” kina. Często kino jest ich jedyną rozrywką. Do teatru, opery i na koncerty nie chodzą, lub chodzą rzadko zarówno ze względów fiskalnych, jako też i tych, że są na tym poziomie rozwoju kulturalnego kiedy sztuka

List otwarty do Redakcji PO PROSTU w Warszawie

(W związku z artykułem pod tytułem „Dziwny podział nagród” zamieszczonym w Waszym piśmie nr 33 z dnia 16.10.1955 r.).

Artykuł ten, w sposób nie praktykowany nawet w wypadku zajmowania przez autora krainowo różnego stanowiska od decyzji Komisji Nagród na Wystawę Młodej Plastyki, — organu powołanego przez Ogólnopolski Zjazd w dniu 4 bm., — a więc ciała kompetentnego i upoważnionego do podejmowania w ramach swych uprawnień. decyzji — podważa i kwestionuje jej autorytet i prawomocność.

Ponadto w sposób niestaktowny i w konkluzji niesłusznie określa moją rolę we wspomnianej komisji.

Ponieważ ów „rewelacyjny” artykuł nie był podpisywany, tak, że nie znany jest operujący z dużą swobodą, a pełnym brakiem odpowiedzialności — autor, wyrażam zdziwienie i ubolewanie, że Redakcja PO PROSTU — z braku zaurozowania artykułu siłą rzeczy zań odpowiedzialna — zaryzykowała umieszczenie na łamach swego pisma omawianego artykułu, bez uprzedniego sprawdzenia słuszności zarzutów i dopuszczenie do nie przynoszącego Jej zaszczytu napaści i nieaktownego tonu artykułu.

P. S. Nieznanemu autorowi artykułu — mam wrażenie, że uzupełnił to jego wiadomości — pozwalał sobie przesiadać na ręce Redakcji, w migawkowym skrócie pokazany, przebieg prac Komisji Nagród.

Może o tych szczegółach jeszcze nie wie.

W dniu 5.10 br. Komisja Nagród w składzie kol. kol. J. Bogucki, Borysowski, J. Brzezowski, Forowicz, T. Gieb, T. Kulisiiewicz, L. Kunka, B. Kurka, Łódziana, M. Mallina i St. Michałowski oraz dwójce przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Sztuki zebrała się w Arsenale. I zaczęło się. Na dyskretny znak dany przez kol. J. Boguckiego, kol. L. Kunka

i ja dobyliśmy pistoletów („Pif-Paf” kal. 9 mm.) — kol. Bogucki był uzbrojony ponadto dodatkowo w 1 (jeden) granat zaczepno-odporny.

Po sterroryzowaniu reszty obecnych został spreparowany przez nas protokół nagród, który następnie musieli podpisać kolejno sterroryzowani przez nas członkowie Komisji. Dla zatarcia śladów, na liście nagrodzonych nie umieszciliśmy swoich nazwisk. Nasza wroga działalność została jednak zdemaskowana. Ha, trudno! — To wszystko.

Kto chce niech wierzy.

Barłomiej Kurka

Szanowny Obywatelu!

Oczywiście, macie całkowitą rację.

Macie rację mówiąc, że Komisja Nagród powołana jest przez Ogólnopolski Zjazd, to jest ciałem tak kompetentnym, że zadane jej decyzje nie podlegają krytyce — i zajęcie stanowiska krytycznego wobec jej decyzji jest podrywaniem autorytetu, kwestionowaniem prawomocności i w ogóle sposobem co najmniej nie praktykowanym.

Macie też bez kwestii rację, że wymienianie po nazwisku osób, z których decyzją Redakcja (ho wszelki artykuł nie podpisywany jest — jak to od wielu lat wiadomo — artykułem redakcyjnym) nie zgadza się, jest nielaktowne, a więc niesłuszne i w ogóle nie przynosi zaszczytu.

Rzecz w tym jednak, że Wasze racje mieszczą się w ramach pewnej konwencji: „M Y Jesteśmy I N S T Y T U C J A i wobec tego to. co M Y zdecydowaliśmy, jest słuszne z urzędu”. — Przykro nam niezmiernie, ale z kolei my nie akceptujemy tej konwencji. Dlatego też jesteśmy głęboko Wam wdzięczni za przypominanie, że żywy jest jeszcze mł. Niektórzy z Wysokich Komisji. Szczerze Wam za to dziękujemy.

REDAKCJA

Warszawa godz. 14

W życiu każdego człowieka przemijają tysiące dni szarych aż następuje jakiś Wielki Dzień.

W życiu naszej redakcji, która przecież jak człowiek ma dni szare i święteczne. Wzloty i upadki, Wielki Dzień nastąpił w środę dnia 2 listopada. Był on nie tyle radosny, co burzliwy.

filmowa — bardziej komunikatywna i tymwa najlepiej: do nich przemawia. Tymczasem dobry film obejrzeć można w Warszawie najwyżej raz na tydzień. CUK mimo tomów krytyki prasowej konsekwentnie trzyma się zasady, że pokazanie 1 dobrego filmu trzeba zrekomensować jednocześnie wyświetleniem dzieł innych. Pragnienie obejrzenia drugiego filmu w tygodniu i to takiego, który nie będzie wyświetlany na ekranach kin, „zakazanego” (ma to swój smaczek o tyle tu nie uzasadniony, że niezgodny z prawdą) przywiodło tłum do gmachu PO PROSTU i kazało mu wystawać godzinami w nieopisanym ścisisku. Nie zaś chęć wysłuchiwania referatów i dyskusowania.

Pragnienie to było tak silne, iż sprawiło, że owi składający sympatyczny młodzi ludzie, którzy odwiedzają nas w pojedynkę byłiby ukladni jak angielscy gentlemni na raucie u królowej — znajdując się w tłumie wyzwoili w sobie iście chuligańskie siły i manery.

Wydaje nam się, że ze sprawy tej zarządy ZMP i komitety ZSP na uczelniach wysnuć winny dwa wnioski:

1) Jest rzeczą, która nie mieści się w głowie, że bądź co bądź studenci, znajdując się w lokalu swojego pisma, posunęli się do chamskich ekscesów wymagających interwencji całego oddziału milicji pod wodzą oficera, i to z powodu... nie otrzymania kart na pokazy filmowe.

Widać z tego, że takie banalne problemy jak kwestia kultury osobistej, godności i przyzwoitości (nawet gdy przebywa się w tłumie) nie powinny schodzić z tapety wychowawczego oddziaływania.

2) Istnieje w naszym środowisku prawdziwy głód. Głód rozrywki. Istnieje on nawet w stolicy uprzywilejowanej w tym względzie w stosunku do takiego np. Olsztyna czy Białegostoku. Głód ten trzeba zaspokoić.

MOŻNA WIELE...

Cóż przeszkadza zaspokojeniu tego głodu? Wydaje nam się, że nie tyle warunki obiektywne (np. ciagle za mała ilość dobrych filmów na naszych ekranach) co jak najbardziej subiektywne. W pierwszym rzędzie brak inicjatywy.

Redakcja postanowiła zorganizować klub dyskusyjny z programem pokazów filmowych. Takie pokazy filmowe mógł równie dobrze zorganizować każdy komitet ZSP, zapewniając miejsca w salach projekcyjnych wszystkim, którzy tego pragną.

Tylko, że nikt jakoś nie pomyślał...

Sądzimy, że gdybyśmy sprzedawali bilety do rewii, kabaretu, cyrku czy diabli wiedzą czego, na schodach redakcji znalazłby się wcale nie mniejszy tłum.

Na co czekacie? Cóż stoi na przeszkodzie organizowaniu dziesiątków imprez? Doświadczenia studenckich

teatryzków satyrycznych dowodzą, że wcale nie trzeba zaczynać z pełną kabiną, i że gdy eksperyment się uda, to i pieniądze jakoś się znajdują.

Rzucamy projekt zorganizowania studenckiej rewii z muzyką, tańcem i piosenką w programie.

Proponujemy (po raz wtóry) organizowanie kabaretów.

Sądzimy, że czas już wyjść poza „wydziałowe” i „uczelniane” zabawy i zorganizować codzienny studencki dancng z konsumpcją skalikulowaną na studencką kieszeń, piosenkarką krążącą między stolikami i aktualnym kupetem na estradzie.

Można dojść do porozumienia z kinami, by organizowały specjalne, studenckie seanse (np. od 22—24) szczególnie atrakcyjnych filmów. Można wszystko.

Niechaj nie umiera wskrzeszona nieśawnio tradycja żakowskich igraszek.

Głód rozrywki jest rzeczą, którą — słowo honoru — nie trudno jest zaspokoić.

Potrzeba tylko: inicjatywy i chęci.

W pierwsze szeregi organizatorów zapraszamy wszystkich, którzy odzyskali rozgoryczenie spod drzwi PO PROSTU gotowi nieomal powywieścić nas na łamanach. Niechaj tam wyładowują nadmiar swej energii.

*

Jak mówi przysłowie — wszystko dobre co się dobrze kończy. Z bólem zrodzony klub, dnia 6 października w Pałacu Kultury i Nauki odbył swój pierwszy wieczór klubowy, połączony z pokazem filmowym.

Cykl pokazów zainaugurował film Charlie Chaplina pt. „Dyk-tator”, który poprzedziła prelekcja Krzysztofa Teodora Toplińskiego. Po filmie wywiązała się dyskusja, która przeszła wszelkie oczekiwania. Wzięło w niej udział ponad dwadzieścia osób tocząc zacieły spór o artystyczny — ideowy — wymowę filmu i sposób odczytania chaplinowskiej groteski.

Dyskusja zatracala o ogólnie-estetyczne problemy sztuki filmowej, toczono spór o pojęcie realizmu w filmie. Byłaby ciagnała się ona o wiele dłużej, gdyby nie spóźniona pora. Wszystko to składa się na sukces inauguracyjnego posiedzenia klubu i „aje podstałę do prognozy, iż szczerza, żarliwa i konstruktywna wymiana zdań wejdzie w krew. stanie się tradycją naszego klubu.

J. U.

P. S. Przy okazji wyrażamy gorące podziękowanie Zarządowi Głównemu RSW „Prasa” za to, że był tak przewidujący i umieścił nas w lokalu ciasnym, obskurnym i starym. Gdybyśmy się mieścili gdzieś na MDM, w pięknym nowym bloku, klatka schodowa na pewno by nie wyrzynała i byłaby „Warszawa godzina 14”. A tu na Wiejskiej dom stary i schody solidne.

Czy organizator życia studenckiego?

Chodzi o zwykłe, proste, codzienne sprawy. Sprawy, które jakże często razią, denerwują, bolą. Zimny kaloryfer i zepsuta ubikacja, przypalone mięso w stołówce i niewłaściwa godzina zamykania biblioteki. Powiecie: znamy, znamy... ile to już razy...

Ogromna armia młodzieży studiującej na naszych wyższych uczelniach. Do osrodków uniwersyteckich jeżdżących co rok młodzi ze wsi i małych miasteczek, mieszkają z dala od swoich domów, od zorganizowanego, rodzinnego życia, w Domach Studenta. Starają sobie zorganizować życie na nowo, na przeciąg kilku lat studiów, możliwie najwygodniej. Młodzi ludzie o wspólnych zainteresowaniach naukowych (najczęściej studenci poszczególnych uczelni mieszkają razem w DS-ach), ciekawi kina, teatru i koncertu... Jakież to wiedzienne pole do popisu dla pracy społecznej, za której pozytywne efekty zaskarbić sobie można wdzięczność studenckiej braci.

...Jest taka organizacja. Nazywa się Zrzeszeniem Studentów Polskich. Spróbujmy na przykładzie jednej uczelni skonfrontować istnienie potrzeby studentów z działalnością organizacji, z tym, co wnosi ona dobrego w życie uczelni i Domów Studenta.

Wystarczy porozmawiać z którąkolwiek grupą ćwiczeniową w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Stalinogrodzie, wystarczy zaciepić rozmowę któregośkolwiek ze studentów spotkanego na korytarzu uczelni, żeby odkryć kopalinę tematów wystarczających do ułożenia „planu pracy” dla tej organizacji, nie na jeden, a na dwa i trzy lata, zaczynając od spraw najdrobniejszych, możliwych do załatwienia drogą jednorazowej interwencji, kończąc na akcjach wielomiesięcznych, wychowawczych, zmierzających do wzrostu poziomu kulturalnego i ożywienia życia umysłowego studentów.

O jaskółkach wiosną czyniących w naszej kinematografii

(dokończenie ze str. 1)

Nie chcę być gołosłownym, nieco miejsca poświęcę sylwetkom filmowych nowatorów, ich twórcemu warsztatowi.

Jerzy Kawalerowicz pracuje obecnie nad „Cieniem”. Jest to film o trudnościach w rozpoznawaniu człowieka. Główną sprawą artystyczną w „Cieniu”, o którą bije się Kawalerowicz — jest dążność do zwiększenia dramatyczności dzieła filmowego, ściśle uzależniając ruch kamery od ruchu wewnątrz kadru.

Każda z trzech opowieści zawartych w scenariuszu Scibora Rylskiego jest zupełnie inna w charakterze, inaczej rozwiązana plastycznie, a jednak wszystkie odnoszą się do jednego zdarzenia, jednej historii człowieka „bez twarzy”, którego „rozgrzylenie” twórca filmu pozostawia widzowi.

Kawalerowicz jako były artysta-malarz budując scenopis wyraźnie kształtuje w wizji twórczej całość dzieła filmowego w takiej formie, jaką będzie rozwiązywał na planie, kierując odpowiednio miast pędzlem, kamerą filmową.

Stad też reżyser przywiązuje ogromną wagę do sprawy montażu poszczególnych fraz filmowych. Jednakże montaż u niego zaznacza się już w ruchu kamery, zmianie planu, a nie dopiero przy stole montażowym. Ułatwia sobie w ten sposób, że „kręci” od razu stosunkowo dość duże odcinki filmu. Tyle o warsztacie. Już na początku przyszłego roku będziemy mogli ocenić, o ile twórcze poszukiwania Kawalerowicza okazały się korzystne dla dzieła filmowego.

W najbliższej przyszłości zamierza on wreszcie pracować nad filmem o tematyce pogodnej, w klimacie zadumy i refleksji.

Andrzej Munk to znany, ambitny dokumentalista, u którego dostrzegamy cięgieł rozwój. Realizował on do tej pory, co prawda tylko filmy dokumentalne, jednakże obserwując jego twórczość filmową można zauważyć jak wyraźni skłania się w kierunku filmu fabularnego. „Gwiazdy muszą płać” i ostatni — „Błękitny krzyż” — przekonują o tym najbardziej.

W tej chwili Munk przystępuje do pracy nad pierwszym filmem fabularnym wg scenariusza J. St. Stawińskiego pt. „Tajemnica masywnisty Orzechowskiego”. Film o kolejarzach. Środowisko nie obce Munkowi, przypomnijmy „Kolejarzskie słowo”. „Tajemnica Orzechowskiego” — to problem właściwego rozwiązywania skomplikowanego mechanizmu ludzkiego. Jest to historia starego kolejowego maszynisty, który ginie pod kołami po-

Ze kilka tygodni rozpocznie swe obrady II Zjazd ZSP. Chcielibyśmy aby pomógł on rozwinąć i upowszechnić dotychczasowe osiągnięcia Zrzeszenia oraz aby rozprawił się ze wszystkimi brakami w jego działalności. W całym kraju toczy się dyskusje nad tym, jaki charakter winna mieć dalsza praca ZSP, w jakim kierunku winna rozwijać się organizacja. Chcielibyśmy przenieść te dyskusje na nasze łamy. Zamieszczamy dziś jedną z wypowiedzi nadesłanych do redakcji i prosimy wszystkich Czytelników o dalsze nadsyłanie swych uwag.

REDAKCJA

...Oto grupa studencka z II roku. Kilkanascie osób. Wszyscy mieszkają w dwóch blokach studenckich na Ligocie. Co mówią?

— W drugim bloku stale gaśnie światło. Uszkodzone są przewody elektryczne, nie możemy się doprosić, żeby zreperowali.

— Obiady w stołówce na Ligocie okropne. W szkole na Bogucickiej dobre, a w DS-ie złe. Dlatego jedna stołówka może być dobra, a druga musi być zła?

— W bibliotece jest taki zwyczaj, że książki trzeba oddać do godziny dziewiętej wieczór. Biblioteczka czynna jest od piątej po południu. A jeśli się ktoś chce dłużej uczyć niż cztery godziny, jeśli chce wieczór cały poświęcić na naukę — nie można. W praktyce nikt z tych książek nie korzysta po dziewiętej. A wielu chciałoby.

— W kiosku PSS nic nie można dostać, na śniadanie za długo się czeka, spóźniamy się czasem na wykłady z tego powodu.

— Dozorca Tomczak w DS-ie ordynarny, wymyśla dziewczętom, nie chce po dziesiątej otwierać drzwi.

— W pokojach zimno, za mało żeberek w kaloryferach.

— Za mało szafek w pokojach, nie ma gdzie wieszak ubrać.

— Bielizna, którą nam zabierają do prania, wraca brudna, tylko przeproszona.

— Nie znamy wyników badań lekarskich. Za późno podaje się je do wiadomości. Zdarza się, że gru-

żący w stadium zaraźliwym śpią ze zdrowymi w pokojach.

— Za mało dostajemy biletów do kin i teatrów.

— Nie wiadomo dlaczego zlikwidowano niedzielne poranki muzykalniące, które bardzo lubiliśmy. W zeszłym roku organizowali je u nas studenci Wyższej Szkoły Muzycznej. W tym roku nie było jeszcze ani jednego takiego poranka.

— Na wiosnę chcielibyśmy słyszeć coś o wycieczkach krajoznawczych.

Nie mało uwag zważywszy, że ZSP wypowiadzało się zaledwie kilkunastu studentów.

Na IV roku „do planu pracy” ZSP studenci mogą dorzucić jeszcze kilka innych, ważnych punktów:

Nieuregulowaną sprawę stypendiów do końca października, za okres pisania prac.

Wszystkie zagadnienia związane z przydziałem pracy na komisjach i wreszcie utrzymanie kontaktu z absolwentami, których zakłady pracy nie zawsze kierują do właściwej roboty.

Jak na pobieżne zapoznanie się z bolączkami i życzeniami studentów — chyba dość.

Wszystkie sprawy poruszone mogą i powinny być punktem zainteresowania i działalności ZSP.

Spróbujmy skonfrontować teraz postulaty studentów z konkretną działalnością organizacji, z tym co zrobila, z tym co zamierza zrobić.

Przeglądałam sprawozdanie z działalności ZSP za rok ubiegły. Przeglądałam, że wiele spraw, które już dawno mogły być załatwione, ciągnie się z roku na rok. Jeden zarząd przekazuje drugiemu. Są naprawdę powołane komisje: zdrowia i stołówkowa, są członkowie Komitetu Uczelnianego ZSP odpowiedzialni za „poszczególne od-

cinki”, ale na tych „odcinkach” jakoś niewiele się zmienia.

ZSP na uczelni w ogóle się „nie czuje”. To jest chyba określenie, które tu najbardziej pasuje. Niby jest. Skupia niemal wszystkich studentów, ale gdy przyjdzie mówić o wynikach pracy — sterczy na papierze w sprawozdaniu kilka cyfr: tytuł a tytuł studentów wyjechało na wczasy, tytuł a tytuł do sanatorium, rozprawdzono tyle a tyle biletów do kina i teatru.

A konkretniej, organizacyjnej działalności — od interwencji w sprawach drobnych a doczekliwych, do pomocy studentom w zdobywaniu wiedzy, pobudzaniu ich zainteresowań gabinetami naukowymi, prowadzeniu dyskusji, ożywianiu życia kulturalnego — jakoś nie widać.

Nie czuje się tego, że ZSP to organizator życia młodzieży, to łącznik między masą studencką a administracją uczelni, to organizacja, która powinna postawić sobie ambitne, konkretne zadania.

Najlepszym dowodem, że ZSP swoich zadań nie spełnia, jest stosunek studentów do tej organizacji. Ze nie przychodzi do Komitetu Uczelnianego, że rzadko zwracają się do niego o pomoc, że ze swoimi sprawami chodzą do administracji uczelni bądź do organizacji ZMP-owskiej.

Ale za zastój w ZSP, za to, że brak organizacji oddechu i rozmachu — odpowiedzialny jest również Zarząd Uczelniany ZMP, odpowiedzialny jest Komitet Partyjny. Za mało uwagi zwracają na działalność tej organizacji, nie pomagają jej w wydotaniu się z impasu, z zastojem.

Warto, aby przed zbliżającym się Zjazdem ZSP sprawa organizacji stała nie tylko na zebraniach sprawozdawczych — wyborczych ZSP, ale również na posiedzeniach Zarządów Uczelnianych ZMP i na egzekutywach komitetów partyjnych.

Warto, aby najbardziej masowa organizacja studencka nie chowała się za suchymi cyframi sprawozdań, ale żeby wysłała naprzeciw masie studenckiej, aby stała się prawdziwym organizatorem życia na uczelniach i w Domach Studenta.

B. S. Stalinogród

Sprawy młodej kadry naukowej (2)

O asystentach i aspirantach

Rok 1955 jest na terenie naszej publicznytyki „rokiem rozrachunku”. Tym tłumaczyć należy cały szereg artykułów podsumowujących, również na odcinku szkolnictwa wyższego. Niepoślednią rolę odgrywały wśród nich wypowiedzi na temat realizacji planów kształcenia młodej kadry naukowej. Mam tu na myśli „Życie Szkoły Wyższej” (Nr 2 i 6 1955) oraz wypowiedź Adama Schaffa „Jak kształcić młode kadry naukowe” („Przegląd Kulturalny” Nr 38 1955).

Obok naturalnej w ostatnim roku planu 6-letniego dążności „bielanowej”, ważnymi czynnikami wpływającymi na omawianą dyskusję są wyniki pierwszych naszych przewodów kandydackich oraz analogiczna, cenna (bo oparta na daleko szerszym materiale) dyskusja radziecka. Wnioski są ujemne. Już dziś jest rzeczą widoczną, że sprawa kształcenia młodych kadr naukowych postawiona została przed koniecznością radykalnej reformy.

TRZY STARE PROBLEMY

Minione lata trzylatki i sześciolatki — to okres gwałtownego rozwoju szkół wyższych. Limity studentów przekraczają wielokrotnie najwyższe normy przedwojenne, powstają nowe szkoły, rosną, stają się katedry. Trzeba szybko uzupełnić braki w kadry naukowej, tak mocno przereźanej okupacją, na stanowiska asystentów powołuje się masowo zdolniejszych studentów starszych lat studiów. Ale dysproporcja między warunkami byto-

wekami* asystenta a inżyniera, czy redaktora jest zbyt wielka, toteż wymienione lata cechuje niewyżyta wprost płynność młodej kadry naukowej. Zostają w końcu nie zawsze ci najzdolniejsi i najlepsi.

Z drugiej strony wymienione lata są okresem ostrej walki klasowej i powolnego przechodzenia na pozycje marksistowskie całego szeregu pracowników naukowych. Ale okres ten nie zawsze upływa w warunkach czujnej troski naszych czynników partyjnych i zetepowiskich. Organizacje uczelniane niejednokrotnie forsują na stanowiska asystenckie ludzi nie mających z nauką wiele wspólnego.

Trzecią wreszcie charakterystyczną cechą tego okresu jest poważne przeciężenie młodej kadry naukowej zarówno zadaniami dydaktycznymi jak i administracyjnymi.

ABY ASYSTENT STAŁ SIĘ NAUKOWCEM

Dopiero obecnie, gdy sprawa jakości pracy wyższej uczelni wysunęła się na pierwszy plan, zdecydowanie zostało postawione zadanie: asystent musi być pracownikiem naukowym. Bawiem tylko ten, kto samodzielnie pracuje naukowo, może naprawdę kierować twórczym opanowywaniem wiedzy przez studentów.

Okres obecny upływa zatem na uczelniach pod znakiem zwiększonych wymagań naukowych. Dążąc do likwidacji dotychczasowej jakości naukowej wśród pomocniczych pracowników nauki, Ministerstwo słusznie kładzie duży nacisk

Na drodze Bonn — Berlin

(dokończenie ze str. 2)

1948 roku 78 000 Niemców. Nie tak dawno z pokładu statku francuskiego „Pasteur”, który w drodze z Indochin do Tunisu przepływał przez Kanał Sueski, rzuciło się do wody i dopłynęło do brzegu kilkudziesięciu żołnierzy Legii Cudzoziemskiej, w tym pięćdziesięciu kilku Niemców.

Zainteresowanie dziennikarzy wzbudziły również słowa Hermana Biastoch: „Pragnąłem zostać ślusarzem, lecz powiedziano mi: ślusarz? Nie. Niech pan wpiwier popracuje z pół roku na wsi. Dobrze. Poszedłem. U pierwszego gospodarza zarabiałem 15 marek mies., pracując 16 godzin dziennie. Mogę to panom udowodnić czarno na białym. Mieszkość Hickfeld, pow. Harburg. Po dłuższym czasie dołożył mi 5 marek. Tak przeżyłem 2 lata. Ponieważ nie mogłem dłużej pogodzić się z takim wyzyskiem, zmieniłem miejsce pracy. U drugiego gospodarza otrzymałem 70 marek, jednakże praca była jeszcze cięższa. Kiedy wreszcie przypomniałem komu trzeba, że na wsi miałem pozostać tylko pół roku, odpowiedziano mi: pracował pan w rolnictwie tak długo, więc najlepiej jeżeli pan tam zostanie. Tak więc pozostało mi tylko jedno: powrót do NRD”.

Młodzież, wyrosła w atmosferze szacunku dla człowieka pracy, ze zdziwieniem przekonuje się na własnej skórze, że na zachodnim rynku pracy — zawsze bogatym w rezerwowy armię bezrobotnych — człowiek traktowany jest jak towar. Żali się na to w „Die Welt” jeden z uchodźców: „Zaprowadzono nas z obozu — łącznie 25 kolegów — do Urzędu Pośrednictwa Pracy. Wszystko przypominało mi tu targowisko bydła. Szereg chłopów czekało już na nas na dziedzińcu. Zaledwie wygrzebaliśmy się z autobusu podszli i zaczęli nas musztrować wzrokiem, jakim ogląda się bydło”. Na ten sam moment zwraca uwagę również „Frankfurter Rundschau” z tym, że pismo dostrzega niebezpieczne skutki organizowania tego rodzaju bydełczych targowisk ludzkim towarem: „Kierownikom personalnym wielu firm pozwalano wybierać sobie odpowiednich ludzi spośród przebywających w obozie. Przypominało to do złudzenia handel niewolnikami. Skutki takiej metody nie były dłużej na siebie czekać. Tak na przykład jedno z wielkich przedsię-

biorstw budowy maszyn wkrótce zorientowało się, że takim podejściem do młodych ludzi spowodowało sobie na kark aktywny zespół młodych komunistów, którzy zaczęli prowadzić w zakładzie agitację. Później już postępowano bardziej ostrożnie”.

Pisma zachodnio-niemieckie z niepokojem i zdziwieniem zarazem podkreślają, że młodzież przychodząca z NRD patrzy na rzeczywistość w republice bońskiej bardzo krytycznym okiem, że buntuje się przeciwko zabijaniu w niej godności ludzkiej. „Młodzież ta chce dyskutować nie o strefie radzieckiej, lecz o Republice Federalnej. Jest u nas wiele rzeczy, którymi ci ludzie — o około 95 proc. przeciwnicy komunizmu — są rozczarowani” — czytamy w „Die Welt”. To samo pismo cytuje w innym numerze fragment listu jednego z młodych uchodźców (dziennik nie ujawnia nazwiska), który wprawdzie nie narzeka na warunki bytowe, lecz nie może pogodzić się z powszechnym w jego otoczeniu spowodowaniem całej filozofii życiowej do pełnego żołądka: „Pozornie wydawałoby się, że powinniśmy być zadowoleni. Narzuca się jednak pytanie: a gdzie życie duchowe człowieka? Na Wschodzie było pod tym względem inaczej. Oczwwiście, kłębiliśmy na robotę w FDJ, przy której nie miało się czasu dla siebie. Niemniej przeżywalimy tam jednak również bardzo piękne chwile. Młodzi wiedzieliśmy wówczas, że mamy przed sobą przyszłość i że ta przyszłość zależy tylko od naszych szczerych chęci. Postanowiliśmy powrócić raz na zawsze do Lipska”.

Młodzież, więc wraca i to wraca z Niemiec zachodnich. gdzie słowo „cud gospodarczy” odmieriane jest we wszystkich przypadkach, (choćby trzeba przyznać, że ostatnio coraz częściej wypowiada się z niepokojem słowo „przeżrana koniunktura”). Młodzież ta przybywa z państwa, które w ciągu ostatnich 5 lat wprowadzało wszystkie kraje kapitalistyczne pod względem tempa rozwoju produkcji przemysłowej. Wyciążymy z tego wnioski słowami zachodniego dziennika „Frankfurter Rundschau”: „Nie ludźmy się. Wzrastająca z miesiąca na miesiąc cyfra powracających uchodźców — przeważnie młodych ludzi — to polityczne świadectwo, przemawiające przeciwko społeczeństwu i prawniemu ustrojowi Republiki Federalnej”.

EUGENIUSZ GUZ

O OBACZENIACH

Wśród wielu bolączek asystenckich, szczególnie dotagających wobec konieczności wzmocnienia pracy naukowej, ostro dawało się we znaki przeciężenie administracyjne. Dziś jesteśmy już na drodze likwidacji tych niedociągnięć. Jedną z radykalnych form jakie wprowadziło ostatnio ministerstwo, jest utworzenie instytucji sekretariatów przy zakładach naukowych. Osmogodzinny etat sekretarza zwalnia asystenta od żmudnego przygotowywania i przepisywania rozmaitych sprawozdań, planów, obliczeń, ankiet, zaproszeń, wezwań itd. Zwolnia go ponadto od pracy nad uzupełnieniem biblioteki zakładowej. Niestety — nie wszędzie już są te sekretariaty. Ma takowy np. polonistyką krakowską, brak go na ośmiast na polonistycie we Wrocławiu.

Poważnym czynnikiem obciążającym asystentów są również niejednokrotnie przerosty zajęć pedagogicznych. Z koniecznością gruntownego przygotowywania się do tych zajęć w warunkach tak szybkiego postępu nauki łączy trudności obiektywne — brak podlegników uniwersyteckich oraz niski poziom naukowy wyniesiony przez studentów ze szkół średnich (asystent jest niejednokrotnie zmuszony do odrabiania zaległości ze szkoły średniej).

A CO Z ASPIRANTURĄ?

Drogą do zmniejszenia limitu zajęć pedagogicznych przypadających na asystenta powinno stać się zatrudnienie na uczelni obecnych aspirantów. Skoro jednym (tj. asystentem) w zdobywaniu stopnia kandydata nauk przeszkadza nadmiar zajęć pedagogicznych, a drugim aspirantem) praktyki pedagogiczne przypadłyby się dla lepszego przeprowadzenia przewodu kandydackiego — co prostszego jak przerzucić część zajęć pedagogicznych z pierwszych na drugich? Zyskają na tym nie tylko prace kandydackie jednych i drugich, ale również — co nie mniej ważne — rąbły się to przyczynić do podniesienia poziomu pracy pedagogicznej na uczelni. A nie wzmagałyby dodatkowych środków, gdyż — jak wiadomo — stypendia aspiranckie niewiele różnią się od uposażeń asystenckich.

Dzisiejsi absolwenci wobec słunkowego młodego wieku, słabego przygotowania w szkole średniej, braku czasu na samodzielną pracę naukową na studiach itd., — powinni wchodzić na drogę naukową nie poprzez aspiranturę w jej dotychczasowej formie — raczej przez asystenturę uniwersytecką. Ale przede wszystkim trzeba by ostatnią ulepszyć — być może środkami, które zaproponowaliśmy.

MIECYSŁAW INGLÓT Uniwersytet Jagielloński

Wydaje Zarząd Główny ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ. Red nac. ELIGIUSZ ŁASOTA. Kolegium redakcyjne: ANNA BRATKOWSKA (zast. red. nac.) STANISŁAW CHRESTOWSKI, BARBARA KALAMAKA, WIESŁAW SZYNDLER, RYSZARD TURSKI. Adres redakcji: W-wa, Wileńska 17. Telefon: redaktor nac. — 841-24, centrala — 832-91, 832-92, 832-93. Prenumerata miesięczna — 1,40 zł, półroczna — 8,40, roczna — 16,80. Nakładem RSW „Prasa”. Administracja: RSW „Prasa”, III Delegatura, Warszawa, ul. Marszałkowska 8, tel. 807-11. Drukarnia: RSW „Prasa”, ul. Marszałkowska 7/5, Zam. 2364 B-6-13192.

Sławni pisarze w anegdocie i karykaturze

HONORARIUM ZA „LUDZI BEZDOMNYCH“

W książce o Żeromskim, wydanej w 1929 r. podaje Piólu-Noyzewski charakterystyczny epizod, mający dosadnie stosunki między



Stefan Żeromski — (karykatura K. Si-chulskiego)

wydawcami a pisarzami w latach przed pierwszą wojną światową. Stefan Żeromski był w tym czasie poważnie chory i żona jego

BOGUSŁAW WOJNAR



Nie zawsze ten kto jest górą
bywa na wierzchu.

Nieraz lżej człowiekowi gdy
spadnie mu kamień z nerki niż
z serca.

Są ludzie tak wstydlivi, że
peszy ich naga prawda.

Nie ma róży bez kolców, ale
jest dużo kolców bez róż.

Człowiekiem samotnym jest nie
ten kto unika ludzi, ale ten
którego ludzie unikają.

Pozytyw otrzymujemy przez
odpowiednie naświetlenie negatywu.

Pamięć — myśli w chłodni.

Moda istnieje po to, aby nie
było wiadomo jak się ubierać.

W a r i a t

Do redakcji przyszedł wariat. Pierwszego dnia dostał się normalnie: powiedział, że idzie do Kowalskiego i puszczone go. Kiedy po kilku dniach ktoś się potapał, że facet jest trochę nie tego, wariat znał już wszystkie zakamarki i uchołodził omijając czujne straż. Przeszkadzał. Nie to żeby w pracy, ale przeszkadzał. Przyszedł do pokoju w którym siedziała Wajsówna i rozmawiał. A Wajsówna nie mogła pójść do Czaroty, by mu powiedzieć z kim uczoraj była

Oktawia pertraktowała z wydawcami w sprawie sprzedania prawa do drugiego wydania „Ludzi bezdomnych”, celem uzyskania funduszy potrzebnych na leczenie pisarza w Zakopanem.

Firma nakładowa Fisera oferowała za to wydanie aż 300 rubli. Nieco więcej, bo 750 rubli oferowała księgarnia wydawnicza G. Sennefeldu. Wreszcie umowę o drugie wydanie tej książki podpisał z firmą Gebethner i Wolff, która zapłaciła autorowi honorarium w wysokości 1000 rubli.

OBŁOK W SPODNIACH

Włodzimierz Majakowski w ten sposób opowiada o pochodzeniu niezwykłego tytułu znanego zbioru jego poezji „Obłok w spodniach”:

„Jechałem pociągami. W przedziale oprócz mnie znajdowała się jedynie bardzo przystojna panienka, która ze względu na nocną porę była zaniepokojona moją obecnością. Pragnąc ją uspokoić zapewniłem ją o swej lojalności w ten sposób:

— Może się mnie pani nie obawiać. Nie jestem mężczyzną. Jestem „obłokiem w spodniach”.

Po latach użyłem tego wyrażenia jako tytułu do zbioru moich poezji”.

SIENKIEWICZ W CZĘSTOCHOWIE

Bawiąc w Częstochowie Sienkiewicz wstąpił do kramu, ażeby kupić widokówki. Wybór był niewielki. Z niezadowoleniem przeczesał kieszki widokówki i już chciał wyjść, nie nie kupiwszy, gdy właścicielka kramu wyciągnęła z szuflady pocztówki z jego podobizną.

— A może to pan kupi? — pyta.
— A któż to taki? — pyta Sienkiewicz, ujrawszy swoją podobiznę.

— To pan nie wie? Przecież to pan Sienkiewicz, ten co tak ładnie opisał obronę Częstochowy.

— Nie czytałem — odpowiada pisarz wstrzymując się od śmiechu.



Henryk Sienkiewicz (karykatura z archiwum Biblioteki UW)

— A czy pan Sienkiewicz mieszka w Częstochowie?

— Ależ on już dawno umarł, że też to pan nie słyszał o tym...

Nadesłał JÓZEF KULAGA
Rzeszów

Całe zdarzenie zawdzięcza swój początek temu, że Marcin po odrobieniu lekcji miał nawyk spacerowania po parku. Gdyby był znał chlubne tradycje tego perypatetycznego zwyczaju, zapewne zwiększyłby i czas i trasę swych spacerów, by dorównać Arystotelesowi. Bowiem pilny był i docieklivy jak mało który z bojowych kolegów, co wstawiali w szkole i w mieście imię organizacji. Właśnie o tym, że nie wszyscy — choć bojowi — je wstawiali, miał się Marcin dowiedzieć w sposób drastyczny podczas spaceru... Najlepiej będzie, jeśli sam o tym opowie.

— Trasę spaceru, zarówno codziennego jak i świętecznego mam podzieloną na odcinki. Przechodziłem właśnie między rozłamanym przez piorun starym kasztanem, a kępą tul. Jest to odcinek ósmy, na którym według planu rozważam zawsze sprawy dyscypliny organizacyjnej i osobistej. Już miałem przejść na odcinek dziewiąty, gdzie zwykłem rozstrząsać zagadnienia bieżącego Plenum, gdy wśród tui zobaczyłem sukienkę!... Na domiar złego w jej najbliższym sąsiedztwie jaśniała twarz zastępcy przewodniczącego koła, Janusza... To wszystko. Prawda, że niewiele. To jednak starczyło, abym natychmiast zawrócił (zresztą oni i bez tego się spłoszyli) i we wzburzeniu, po łebkach rozważając kwestię przypadającą na powrocie odcinku drogi, zaczął się w domu zastanawiać nad tą niespodziewanym wyrosłą wśród trawy sprawą.

Rzecz prosta, tę zwięzłą relację złożył Marcin nie wiatrowi, ani przed mikrofonem, lecz trzeciemu członkowi zarządu koła, zwanemu dla surowości obyczajów Katusiem. W ten sposób cały trzyosobowy zarząd podzielił się bardzo szybko o zaistnieniu, przy czym zastępca przewodniczącego, Janusz, znał je najdokładniej.

Sprawa wyglądała poważnie. Ustalono ponad wszelkie wątpliwości, że sukienka zauważona przez Marcina należała do Madzi Piezanki, siostry niejakiego Jasia Piegi, wypróbowanego członka koła. Co robić dalej? Marcin zaproponował zwołać zebranie aktywów, lecz Katus postawił kategorię roczne veto.

Takie sprawy nie nadają się do dyskusowania przez młodzież — powiedział surowo — Szkolenie ideologiczne, sprawy organizacyjne i dyscypliny — oto czemu winno służyć zebranie. Trzeba ci wiedzieć, że zebranie jako takie znano już przed wojną, ale dostępne było jedynie grupie fabrykantów i obszarników ziemskich. Dopiero po wojnie zebranie stało się udziałem najszerzych mas ludowych i znalazło o wiele zastosowań. Jak więc widzieć, jest to instrument zbyt cenny aby poświęcać go na sprawy rozpusty.

Marcin liczył się ze zdaniem surowego Katusia i zebrania nie poświęcił, tym bardziej, że mógł na nie przysięść Janusz, czego chcieli za wszelką cenę uniknąć.

Po fiasku w zebraniu próbował sam przemyśleć całe zagadnienie. Poświęcił na nie cały spacer (tam i z powrotem). Dobrze mu się myślało, chociaż bezowocnie.

— Już półtora roku znam się na rzeczy i wiem co i jak, ale takiego wypadku jeszcze nie miał. Też musiał go pokusić! Zle zrobił, to pewnie. Ale właściwie nie takie znowu pewne... Politycznie dojrzały, wie co robi. Tak od razu gorzyć się można. Rozważajmy sprawę na płaszczyźnie moralnej. Hm... Moralność... Tak w ogóle to trudno, trzeba konkretnie. Czy Janusz jest niemoralny?

brązową welwetową marynarkę. Zobaczysz go Naczelnicy uciechaj się. Na pierwszy rzut oka widnieć, że przesadził — pomyślał. I jeszcze przemknęło mu przez głowę, że tak chyba wygląda zwykły czytelnik.

A tymczasem wariat usiadł. I powiedział: — Wiecie, towarzyszu, a może by tak wydawać ciekawą gazetę? Redaktor pomyślał że smutkiem — a jednak mieli rację. Wariat. I skrzywił się cały. Ale tylko wewnętrznie.

ASMODEUSZ

wiedzieć, a jak ja mam postąpić? To przecież znaczy sad i więzienie, a rodzina zostanie bez żywności. Zresztą, syn w zeszłym tygodniu odszedł i mieszka w kolegi. Mówia, że szuka pracy. Ja przyszedłem do was, Sergiuszu Dymitrowicz, proszę o radę. Jak postąpić?

Wolski słuchał Okajemową z pewnym zakłopotaniem — po raz pierwszy przyszedł do niego wyborca z taką nieoczekiwaną sprawą. Zupełnie nie wiedział, jak można pomóc temu człowiekowi.

— Naprawdę, nie wiem, co wam poradzić — powiedział. — Rozumiem waszego syna i was. To znaczy, ja, oczywiście was nie usprawiedliwiam... Rozumiecie mnie.

— Sam wiem, że jestem winien — i wiem, że od kary się nie wykreję. Ale rodzina, kupa dzieci...

— O toż to, właśnie to... Wolski pomyślał i zapytał: — A dużo w ten sposób zarobiliście?

— Dużo, nie dużo, ale ze trzy tysiące będzie.

— A gdyby tak zwrócić te pieniądze jednocześnie z zeznaniem w prokuraturze?

Myślicie, że tak można? — Okajemow wieł patrzył na Wolskiego z takim wyrazem twarzy, jak gdyby usłyszelił zastanawiając się nad jego propozycją.

— Według mnie, to jedynie wyjście. I wtedy ja też będę mógł wam pomóc. Zadzwonienie do prokuratora i poproszę go, żeby do tej sprawy ustosunkował się po ludzku. Przecież i ludzie prawa nie mogą nie myśleć o waszej rodzinie...

— Zrobicie to? Prawda?

— Tak. Obiecuję.

Okajemow wstał.

— Sergiuszu Dymitrowicz... — oczy mu zwiłgotniały. — Ogromnie wam dziękuję. Jeszcze wstąpię do was, kiedy zrobię wszystko według waszej rady. Można?

— Ja od razu przy was zadzwonię, do kogo należy.

— Do widzenia, Sergiuszu Dymitrowicz. — Okajemow skierował się do drzwi i nagle zatrzymał się. — Omal nie zapominałem. Jeszcze jeden kłopot — przyszedłem do was w czasie godzin pracy, w spółdzielni mało o to narobić szumu. Nie moglibyście dać jakiejś karteczki, że byłem u was? Bardzo was proszę.

— To może. Wolski przysunął do siebie deputacki notes i zastanawiał się, jak napisać.

— Do kogo to napisać? Do dyrektora?

— Tak. Do dyrektora rzemieślniczej spółdzielni wyrobów metalowych.

— Tak... Do dyrektora rzemieślniczej spółdzielni wyrobów metalowych — powtarzał na głos Wolski pisząc adres.

— A wiecie dlaczego postanowiłem przyjść właśnie do was? — Wolski przetrwał pisanie i słuchał Okajemową. — Przypomniałem sobie, jak to wy, przemawiając do wyborców, to też wyczytałem ze starych gazet, powiedzieliście, że dla deputowanego nie może być spraw wielkich i małych, wszystkie są wielkie!

— Głupota! — powiedział nagle z gniewem Wolski i odłożył pióro. — Ja tego nigdy nie mówiłem!

— Jak to nie mówiście? Co wy, Sergiuszu Dymitrowicz? — Okajemow uśmiechnął się, ale w wyrazie jego oczu Wolski zauważył strach.

(dalszy ciąg nastąpi)

HENRYK BARDIEWSKI

MORALNOŚĆ

opowiadanie satyryczne

To znaczy... tego... Hm... Szóste przykazanie „nie cudzołóż”.

Tiu! Do diabła z przykazaniem! Więc jak? Aha. Czy ma socjalistyczny stosunek do pracy i własności społecznej? Właśnie! Stosunek do nauki ma pozytywny, można powiedzieć socjalistyczny, to co robił, to robił po lekcjach. A do własności społecznej? Chyba też dobry, ale co ma piernik do wiatraków? Jest moralny, czy nie? „Nie pożądał żony bliźniego swego”... A do czego, znowu się przypiął? Wychowany w patriotyzmie? Cóż z tego, i patriotcie Madzia może się podobać. Wychowany w humanizmie socjalistycznym? O! To już jest coś, choć nie bardzo rozumie. Chyba tu chodzi o stosunek do człowieka. Jaki on miał stosunek do Madzi? Coś zdaje się za daleko zabraniałem... Niedyskretnie. Ale czy przynajmniej skrzywdził ją, czy zastosował wyzysk człowieka przez człowieka? Ba, o to by trzeba Madzi zapytać — co on zastosował? W każdym razie nie zauważyłem, żeby ją specjalnie skrzywdził. No więc jak? „Grzech? Znowu — grzech!... Czy ja oszalałem? Zetępnąć z materialistycznym poglądem nie może grzeszyć! Fideiści grzeszą, nie my. A Janusz? Janusz nasz. Uff... Ale co z tego? Idźmy dalej. Czy on jest wychowany w kolektywizmie, przyjaźni i koleżeństwie? No, nie można powiedzieć, dobry chłopak. Zresztą z tą Madzią to już chyba więcej, niż przyjaźni... A świadoma dyscyplina się odznacza? Właśnie! Właśnie o na zebraniu przychodził regularnie, złom zbierał, aktywista... A ze z tą Madzią? Może on zupełnie świadomie i w sposób zdyscyplinowany i co wtedy? No więc już, w porządku... Ot i doszedłem do domu i do niczego więcej...

Tego dnia Marcin nie już więcej nie wymyślił. Sprawa posunęła się nieco dalej dzięki temu, że Katus odpowiedział o wszystkim Jasiovi Piedze. Ten był zaskoczony zachowaniem swojej siostry. Jej postępek traktował jako bohaterstwo i policzek wymierzony mieszczańskiej moralności. W dyskusji z Marcinem i Katusiem krzyczał głośno i wymachiwał rękami. Gwoli ścisłości zaznaczamy, że była to pierwsza, prawdziwa dyskusja od założenia koła, bowiem dotąd wszyscy na wszystko się zgadzali: i na konieczność rozwoju rolnictwa, i na konieczność walki o pokój, i na konieczność podnoszenia poziomu wykształcenia.

Chłopcy doszli do porozumienia: ze względu na różnice w zapatrywaniach należy się zwrócić do kogoś starszego o pomoc. Oponował przeciwko temu Marcin, lecz został przegłosowany. Katus kuł żelazo pęki gorące.

— Zwrócisz się do ojca — rzekł do Marcina.

— Niech Pan Bóg bron! — przerwał się przewodniczący. — Dałby mi papa takie tematy! Byłby pas w robocie. Mój papa nie wie, że ja wiem.

— No więc skoro Marcin musi w domu „greka” udawać, to ty Piega porozumiewaj się swoim starym.

— Oszalał! Nie wiem, że z tymi sprawami jestem w podziemi! Zresztą Madzią by z domu wyrzucił.

Wobec tak poważnych trudności już ja, to jest autor, miałem się z radami zaofiarować, gdy Katus zdecydował:

— Tchorze jesteście i niewypały! Jutro pójść do wuja, sprawę Janusza wyłożyć i koniec.

— A twój wuj będzie wiedział? — spytał podejrzliwie, Jasio.

— Rozumie się, że będzie. Przecież dorosły, politycznie dojrzały, a do tego dyrektor, to kto ma wiedzieć jak on nie?

Tak też się stało.

Nazajutrz umył się Katus odświętnie i włożył długie spodnie.

W miarę jak zbliżał się do gabinetu wuja gasła w nim odwaga, aż zostało jej tylko na otwarcie wybitych skórk drzwi. Wuj-dyrektor powitał go dobroliwym uśmiechem, z zadowoleniem spojrzawszy na czerwony krawat i wskazując fotel. Zaczęła się Katusiowa męka.

Najpierw poinformował wuja o stanie pogody, sianokosach i cenach jabłek na kompot, następnie uznał za stosowne zapytać go o rytmiczność produkcji w fabryce, w końcu przystąpił do streszczenia „Pustelni Parmeńska”. Wuj słuchał cierpliwie i podpisywał jakieś papierki przyznające przez sekretarkę. Po jej wyjściu Katus przystąpił do sprawy. Wuj słuchał z wyraźnym zaniepokojeniem. Wypytywał nawet o Janusza i Madzię, kiwał swą piękną szpakowatą głową, wreszcie zaczął się — jak to dziś mówią — ustosunkowywać.

— Widzisz kochasiu, kler to by od razu wszystko potępił z któregoś tam przykazania. Ale my nie. Nie mówię, że nie potępiałmy, lecz jeśli nawet, to inaczej. Tak „Kłótnia do godziny? Już czwarta? No więc gdybym ja był he, he kłótnie, to bym w czambuł potępił.



rys. Zbigniew Kiulin

Nie jestem, ale to nie znaczy, że nie potępiam.

— Bo on widzi grzech, a wujek widzi człowieka, prawda? — osmieszył się przerwać Katus.

— Właśnie miałem to powiedzieć. Ja widzę człowieka... A propo, kto go widział?

— Człowieka, wujku?

— Nie człowieka! Tego Janusza...

— Marcin, nasz przewodniczący, zdybał ch in... tego...

— Rozumie. O czym to ja mówiłem? Aha! No więc ja widzę człowieka, a kler widzi tylko grzech. Tym się różnimy. Jasne? Tak... Jak ten czas leci! Widzisz, kochasiu, młodzieżowiec winien być zdyscyplinowany. Trzeba w nim wyrabiać socjalistyczny stosunek do pracy i własności społecznej. Musi rozwijać w sobie patriotyzm. Rzecz jasna, należy w nim wychowywać poczucie koleżeństwa i przyjaźni.

— Tak... to jest nie, niezupełnie... — bąkał Marcin, oniesmielony elegancją młodej męża! i.

— Już trzy dni minęły od naszego ślubu. Upić nam bilety, do rze?

Kupili. Czuli się jak nowonarodzeni. Ledwie wyszli z kina, Katus wrzasnął:

— Czort z „Miłością kobiety”! Wyjaśnijcie s! Obiejdzie się bez pisanina do instancji...

— To jednak porządny chłopak ten Janusz — przyznawał Marcin.

— Ostatecznie ustakował się. Dyscyplina wzięła górę.

— Tak, tak, wuj miał rację z tą dewizą — przypomniał sobie Katus.

Tylko Jasio Piega był coś smutny, ale to nie ma nic do rzeczy. Ma po prostu kłopoty rodzinne — Madzia czuje się ostatnio bardzo niedość.

BELLUM CONTRA OMNES ■ BELLUM

Przygoda z Lajkonikiem i ob. Bogaczem z Bielska

Kiedy 21 października br. przedstawiciel Zespołu Piesni i Tańca Politechniki Krakowskiej przyjechał do Bielska (gdzie nazajutrz zespół miał dwukrotne wystąpienie) okazało się, że bielszczanie nie wykupili jeszcze wszystkich biletów na te występy. Trzeba było jakos temu zaradzić.

Pomyślił by bardzo prosty i ciekawy sposób na Wydz. Kult. PMR w Bielsku. Ten jednak po telefonicznej rozmowie z Wydziałem Propagandy i Komitetu Miejskiego PZPR odpowiedział, że tenże Wydział Propagandy (i Wydz. Kultury PMR) oczywiście także nie pozwalają, by w Bielsku „działy się proponowane sceny”.

Kłopotowanie przekonani, że zasłono porozumienie, poszli do Komitetu Miejskiego, znaleźli Wydz. Propagandy, a w nim tow. Bogacza. Powiedzieli, że ich zespół, zdobywca II nagrody na ogólnopolskich eliminacjach studenckich w br. i uczestnik V Festiwalu — nie mają pewności czy na odbywający się („Jutro, towarzyszu, proszę zrozumieć”) w hali „Sparty” występ przyjdą wszyscy, którzy chętnie by go zobaczyli, proponowali by niektórymi ulicami miasta przebiegł Lajkonik w otoczeniu halabardników. Ci zaproszą ciekawych na występ.

Zaprosili też tow. Bogacza i chcieli wynieść na ulicę. A na to tow. Bogacz — „Nie, my nie pozwalamy na taką propagandę”.

Krakowskie goście zapytali: „Dlaczego? Przecież u nas...”

A tow. Bogacz jednoznacznie i ostatecznie — „Bo to jest sanacyjna propaganda”.

Nie pomogły tłumaczenia. Bielszczanie Lajkonika nie zobaczyli, a zawsze okaskiwany Zespół występował przy na wpół pustej widowni.

P. S.

Równocześnie z tą „notką” członkowie naszego ZPIT wysyłają list, który pozwalał sobie przytoczyć.

Do

Dyrektora Warszawskiego ZOO

Jeśli Obywatela ukarano za kolonialną propagandę w związku ze słoniem, który przepascerował ulicami Warszawy, propakując Wasze ZOO) to proszę przyjąć wyrazy naszego współczucia.

Współczujemy naprawdę szczerze, bo nas ukarano za sam zamysł o tyle innej, że sanacyjnej propagandy. Nasz występ w Bielsku skrócił się z powodu deficytu moralnym i finansowym.

Bzym filozoficzny przez szybę

(Dokończenie ze str. 2)

wie, licznych uniwersytetach wolskich — przewyższa znacznie popyt szkolnictwa średniego; posady nauczycieli w szkołach średnich są znikomo nieliczne w stosunku do ilości kandydatów. Powstaje coś w rodzaju nadprodukcji filozofów, choć należałoby raczej mówić o niedostatkach szkół; stąd znaczne bezrobocie wśród absolwentów wydziałów filozoficznych, podobnie zresztą jak w innych dziedzinach.

Otrzymanie pracy asystenckiej na wyższej uczelni jest, rzecz jasna, wielokrotnie trudniejsze wobec niemiernie małej ilości etatów uniwersyteckich. Jeden z profesorów, z którym rozmawiałem, powiedział mi, że znajduje się w wyjątkowo uprzywilejowanych warunkach, ponieważ zatrudnia dwóch pracowników

kół płatnych przy swojej katedrze — sytuacja niemal niespotykana w innych zakładach. Uposażenia młodych pracowników naukowych utrzymane są na głodowym poziomie: pensja asystenta wynosi około 30.000 lirów miesięcznie (miesięczne komorne za mieszkanie dwupokojowe w nowym domu wynosi, jak mi powiedziano, 25—30 tysięcy lirów).

W trudnych warunkach politycznych i ideologicznych komunistycznej włości przejawiają ogromną żywotność i niezwykłą aktywność filozoficzną; intelektualni marksistowsy, w walce z licznymi doktrynami idealistycznymi, utrzymują przewodnictwo całego postępowego ruchu umysłowego, który kontynuuje wielkie tradycje włoskiej kultury humanistycznej.

Ściśle NIEBEZPIECZNE W UŻYCIU

Idąc do Wolskiego Okajemow obmyślił sobie do najdrobniejszych szczegółów, jak i o czym będzie z nim mówił. Postanowił w miarę możliwości nie podawać swego nazwiska, ale na wypadek, jeżeli już trzeba to będzie zrobić, wyszperał w starych gaciach okąg wyborczy, z którego kandydował Wolski i tam z listy mieszkanców jednego domu wybrał sobie zwykłe nazwisko — Jegorow i zapamiętał adres tego Jegorowa. Powód wizyty u deputowanego wymyślił taki, który nie mógłby wywołać najmniejszych podejrzeń...

Okajemow polozyl ręce na stole i oglądając je zaczął mówić z udaną szczerością, powstrzymując wzruszenie:

— Jestem małym człowiekiem. Ot, taki sobie buchalter w spółdzielni rzemieślniczej. Ale i mały człowiek może mieć wielkie kłopoty. Wszystko zaczęło się mniej więcej przed rokiem, kiedy zaczęło być u mnie kruchy z pieniędzmi. Rachunkowość u nas w spółdzielni, sami wiecie, niezbyt surowa... Włec wprowadziliśmy tam do jednej rubryki pięćset rubli i wzięliśmy je sobie. A potem zobaczyłem, że można tak wziąć jeszcze pięćset, potem jeszcze... Rodzinie mam niemałą — osiem dusz. Jedno mniejsze od drugiego. Najstarszy w tym roku pójdzio do dziesiątej klasy. Nazywa się Miszka. I właśnie od niego zaczęła się cała tragedia. — Okajemow westchnął i ciągnął dalej: — W domu zauważyłem, że zaczęłam przynosić pieniądze oprócz wyplat. I kiedyś wreszcie znowa przystawiła mi nóż do gardła — skąd te pieniądze? Powiedziała mi, że cała prawda! A Miszka przypadkowo usłyszał całą tę rozmowę. Wkrótce złapał mnie jakiś w cztery oczy i mówił: „Jestem komсомоłcem i nie życzę sobie mieć ojca, złodzieja. Jedno z dwójga — albo pójdziesz tam gdzie należy i opowiesz wszystko, albo ja odejdę z domu...” Tak, jemu łatwo po-